

Powiat



Nr 3-4 (218-219), Marzec-Kwiecień 2019

Rok XIX * ISSN 1730-7686

facebook.com/morskipowiatslupski

SŁUPSKI

Gmina Damnica ma potencjał

Ostatni dzwonek

Czym żyje prowincja?

Zaklina w fotografiach tajemnice natury

Wymazani z pamięci

Wyspiański nieznany

Problemem teatr środka

Wieś Tworząca





TARGI EDUKACYJNE

ŚLĄPSK, MARZEC 2019





PAWEŁ LISOWSKI
Starosta Słupski

Powiat



SŁUPSKI

Drodzy Czytelnicy!

Wyznaczając priorytety na całą kadencję wiedziałem, że jednym z nich musi być edukacja dzieci i młodzieży. Wśród naszych jednostek kilka pełni funkcję oświatową, a ich sprawne działanie jest kluczowe dla rozwoju powiatu. Dlatego ostatnie tygodnie przyniosły kilka konkretnych decyzji.

Zaangażowaliśmy się m.in. w działania wspierające rozwój Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce. Podpisaliśmy z władzami miejskimi,

klubami sportowymi i przedstawicielami firm list intencyjny o współpracy na rzecz młodzieży. Ponadto w szkole powstanie oddział mistrzostwa sportowego i uczniowie będą mogli liczyć na dostosowane do planu lekcji połączenia autobusowe oraz na praktyki w lokalnych firmach.

W marcu rozstrzygnięty został przetarg na remont elewacji Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Damnicy. Będzie to wielotysięczna inwestycja wymagająca wyjątkowych prac

ze względu na zabytkowy charakter obiektu. Przed nami dalsze remonty tej placówki, które poprawią w niej warunki, zwiększą bezpieczeństwo uczniów i nauczycieli.

Zarząd Powiatu zdecydował także o przeznaczeniu dodatkowych środków na doposażenie Młodzieżowego Ośrodka Socjoterapii w Ustce. Placówka zyska nowoczesny monitoring oraz sprzęt do pracowni komputerowej.

W Zespole Szkół Agrotechnicznych w Słupsku zamierza-

my realizować plan budowy hali. ZSA zyska dzięki temu nowoczesny obiekt, gdzie z powodzeniem będzie można prowadzić zajęcia sportowe i organizować rozgrywki międzyszkolne.

Wierzę, że działania zachęcające dzieci i młodzież oraz rodziców do zainteresowania się ofertą naszych placówek oświatowych. Stawiamy na nowoczesną edukację w dobrze wyposażonych obiektach, dlatego serdecznie zachęcam do wyboru szkół powiatu słupskiego!

W numerze:

- 2 Sprawozdania i podział pieniędzy na rehabilitację
- 2 Rekordowy „Wiejsztuk”
- 3 Nowa Rada Rynku Pracy
- 3 Wsparcie usteckiego zespołu szkół
- 3 Grand Prix dla Głębina-Stanięcina
- 4 Pięć lat osiągnięć!
- 4 70 lat biblioteki
- 4 Mistrzowie ortografii
- 5 Zdrowie dzieci i... nauczycieli
- 5 Aktywny przewodnik i publicysta
- 5 Kwiaty i pejzaże
- 6 Gmina Damnica ma potencjał



Myślę, że budowa drogi S6 spowoduje większe zainteresowanie inwestorów i rozwój indywidualnego budownictwa na terenach przylegających do planowanej inwestycji.

- 8 Chcemy być z wami
- 10 Szkoła Podstawowa w Objeździe ma imię i sztandar



Podczas obchodzonego trzy lata temu jubileuszu siedemdziesięciolecia szkoły w Objeździe zrodziła się idea poszukiwania patrona.

- 13 Ostatni dzwonek
- 14 Stupia ciekawą rzeką
- 15 Nasze kotki, kotezki
- 16 Czym żyje prowincja?



„To dla mnie gratka przeczytać informację pastora z Rowów

z 1717 roku czy fragment protokołu Paula Szcharnowskiego o szkole w Objeździe...”

- 20 Gdyby Kaszubi nie chcieli do Polski...
- 22 Latarnia Rozewie na linorycie Bolesława Rogińskiego
- 24 Zaklina w fotografiach tajemnice natury



Mieszka na skraju lasu w małej chatce w podstępskiej wsi. Wybrała to miejsce szczególnie, aby wychodzić ze swojej szklanej kuli, być blisko leśnej głuszy.

- 27 Katedra pojednania
 - 28 Wymazani z pamięci
- W latach powojennych w świadomości Polaków utrwalano jedynie stalinowskie przymioty wielkiego sojusznika, jakim rzekomo był ZSRR.

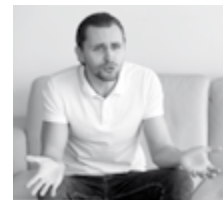


- 33 „Kupiec Wenecki” w Nowym Teatrze
- 34 „Wyspiański nieznany”



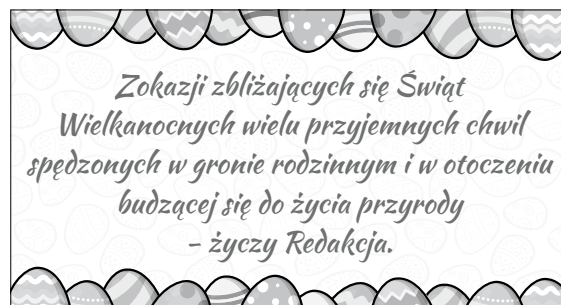
Muzeum Narodowe w Krakowie zorganizowało wystawę „Wyspiański nieznany”.

- 36 Problemem okazał się teatr środka
- 38 Brak odpowiedzi na reklamację



Brak odpowiedzi na reklamację w terminie 14 dni od otrzymania żądania konsumenta skutkuje uznaniem tego żądania w zakresie i treści wskazanym w reklamacji.

- 40 Bogu na chwate, ludziom na ratunek



Sprawozdania i podział pieniędzy na rehabilitację

Na marcowej sesji Rada Powiatu Słupskiego podjęła m.in. uchwałę określającą zdania, na które przeznaczone zostaną środki Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych. Przyjęła też roczne sprawozdania z działalności powiatowych jednostek organizacyjnych.

Na początku sesji uroczystie podziękowano Janowi Czechowiczowi - dotychczasowemu prezesowi Słupskiej Izby Przemysłowo-Handlowej za długoletnią współpracę i zaangażowanie w rozwój gospodarki słupskiego regionu. Jana Czechowicza na funkcji prezesa, po wyborach przeprowadzonych 14 marca, zmienił Jerzy Bury - właściciel spółki „Eko-Plast” ze Słupska, dotychczasowy przewodniczący Rady Izby. Natomiast Jan Czechowicz - właściciel firmy „Plasem” z Widzina został nowym jej przewodniczącym.

Po tej miłej uroczystości radni, po wysłuchaniu sprawoz-

dania z działalności Zarządu Powiatu przedstawionego przez starostę Pawła Lisowskiego, przyjęli sprawozdania z działalności Powiatowego Centrum Pomocy Rodzinie, Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku za 2018 rok, z funkcjonowania procedury konsultacji społecznych z mieszkańcami powiatu oraz zapoznali się z oceną zasobów pomocy społecznej w 2018 roku.



Radni podejmując uchwałę o określeniu zadań, na które przeznaczy się środki z PFRON, zdecydowali, że z 1 329 739 zł, które powiat słupski otrzymał na 2019 rok, 1 239

739 zł przeznaczonych zostanie na aktywizację społeczną osób niepełnosprawnych, a 90 tys. na aktywizację zawodową. W ramach tej pierwszej 248 tys. zł przeznaczonych będzie na dofinansowanie uczestnictwa osób niepełnosprawnych i ich opiekunów w turnusach rehabilitacyjnych, 320 tys. na dofinansowanie zaopatrzenia w sprzęt rehabilitacyjny oraz przedmioty ortopedyczne i środki pomoc-

wej, 31,5 tys. na dofinansowanie sportu, kultury i turystyki, a 25 tys. zł na zadania zlecone fundacjom i organizacjom pozarządowym.

Z 90 tys. zł na rehabilitację zawodową osób niepełnosprawnych, 40 tys. zostanie przeznaczonych na rozpoczęcie działalności gospodarczej, rolniczej albo na wniesienie wkładu do spółdzielni socjalnej, 40 tys. na zwrot kosztów wyposażenia stanowisk pracy dla osób niepełnosprawnych i 10 tys. zł na szkolenia i przekwalifikowanie zawodowe.

Rehabilitacją społeczną osób niepełnosprawnych w powiecie słupskim zajmuje się Powiatowe Centrum Pomocy Rodzinie, a zawodową - Powiatowy Urząd Pracy w Słupsku. W obu tych jednostkach można składać wnioski o dofinansowanie.

Rada Powiatu podjęła też uchwałę o uznaniu się za niewłaściwą do rozpatrzenia skargi na dyrektora Powiatowego Urzędu Pracy w Słupsku i wskazaniu organu właściwego do jej rozpatrzenia, oraz o rozpatrzeniu skargi na dyrektora Domu Pomocy Społecznej w Lubczewie - uznając tylko część zarzutów za zasadnych. Rozpatrzyła również petycję o budowie chodnika w Mrówczynie. (z)

Rekordowy „Wiejsztuk”

Dziesięć grup teatralnych wzięło udział w dorocznym, VII Powiatowym Przeglądzie Teatrzyków Wiejskich „Wiejsztuk”. Na scenie Gminnego Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy zaprezentowało się blisko 200 młodych aktorów.

Tegoroczny „Wiejsztuk” odbył się 15 marca. Do Kobylnicy przyjechały szkolne teatry z: Łupawy, Biesowic, Zaleskich, Dębnicy Kaszubskiej, Słonowic, Głębina, Objazdy i Jezierzyc. Zaprezentował się również teatr z Kobylnicy. Rywalizacja toczyła się w dwóch kategoriach wiekowych. W grupie uczestników młodszyc (klas I-III) zwyciężył

kabaret „Humorek” z Kobylnicy, który pokazał „Rodzinę Jasia i Kopciuszka”. W grupie uczest-

ników starszych (klasy V-VIII) wygrali młodzi aktorzy z Łupawy - za przedstawienie „Inny”.

W pierwszej grupie teatrów drugie miejsce jury przyznało



„Małej kurtynce” ze Słonowic, trzeciego nie przyznało, a cztery wyróżnienia otrzymały: „Mina” z Ustki, „Ze ho, ho” z Dębicy Kaszubskiej, „Kurtynka” ze Słonowic i „Gawędziarze” z Jezierzyc.

W drugiej grupie teatrów przyznano drugą nagrodę teatrowi „Domino” z Głębina, a dwie trzecie ex aequo - teatrom z Biesowic i „U drzwi teatru” z Objazdy.

W ocenie jurorów tegoroczny „Wiejsztuk” stał na bardzo wysokim poziomie artystycznym. Zorganizowany został przez powiatowe Centrum Edukacji Regionalnej w Słupsku oraz Centrum Kultury i Promocji w Kobylnicy. (CER)

Nowa Rada Rynku Pracy

29 marca na swoim pierwszym posiedzeniu zebrała się powołana przez starostę słupskiego nowa Powiatowa Rada Rynku Pracy na kadencję 2019 - 2023. Na przewodniczącego wybrano Rafała Konona.

Rada Rynku Pracy jest organem opiniotwórczo-doradczym starosty w sprawach polityki rynku pracy. Do zakresu jej działania należy między innymi ocena racjonalności gospodarki środkami Funduszu Pracy, opiniowanie projektu re-

gionalnego planu działań oraz okresowych sprawozdań z jego realizacji, opiniowanie kryteriów podziału środków Funduszu Pracy, wydawanie opinii w sprawach dotyczących kierunków kształcenia, szkolenia zawodowego oraz zatrudnienia, opiniowanie celowości realizacji programów specjalnych.

W skład rady weszli przedstawiciele związków zawodowych, organizacji pozarządowych, organizacji pracodawców, rolników i jednostek samorządu terytorialnego. Przewodniczącym został Rafał Konon - wice-



Fot. SAS

starosta słupski, a wiceprzewodniczącą Małgorzata Czarnowska reprezentująca Słupsk.

Podczas pierwszego spotkania dyrektor Powiatowego Urzędu Pracy, Paweł Kądziera przedstawił radzie informację o stanie bezrobocia. Na koniec lutego br. obejmowało ono

3994 osoby, w tym 2476 z powiatu i 1518 ze Słupska.

Rada pozytywnie zaopiniowała sprawozdanie z działalności Powiatowego Urzędu Pracy za 2018 rok, omówiła także bieżące zagadnienia związane z bezrobociem. (tj.)

Wsparcie usteckiego Zespołu Szkół

Na konferencji prasowej 13 marca Paweł Lisowski, starosta słupski podpisał list intencyjny o współpracy na rzecz rozwoju Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce.

List podpisali: Miasto Ustka, Akademia Pomorska w Słupsku, Centrum Szkolenia Marynarki Wojennej im. adm. Józefa Unruga, MOWI Poland SA, Hotel Grand Lubicz-Uzdrowisko Ustka, MKS Jantar Ustka, LKS Jantar Ustka, Magola Szkoła Żeglarstwa, SSPR Szczypiorniak - Ustka.

Partnerzy zadeklarowali się wspólnie wspierać działalność usteckiego zespołu szkół w zakresie poszerzania oferty edukacyjnej, w tym kształcenia sportowego oraz w organiza-

cji praktyk i obejmowania klas patronatami.

- Jednym z ważnych dla nas celów jest funkcjonowanie na terenie Ustki silnej jednostki oświatowej, przy jednoczesnym wykorzystaniu potencjału rozwijającego się miasta - mówił podczas konferencji starosta słupski Paweł Lisowski.

W zaprezentowanej nowej ofercie edukacyjnej powiatowego zespołu szkół na rok szkolny 2019/2020 młodzież znajdzie nowe profile klas w trzech typach szkół: liceum, technikum i szkole branżowej pierwszego stopnia. Dodatkowo powstanie oddział mistrzostwa sportowego, w którym

edukację będą kontynuować najlepsi młodzi sportowcy z regionu słupskiego.

Ponadto uczniowie będą mogli liczyć na dostosowanie do planu ich lekcji połączeń autobusowych, tak by mogli dogodnie dojechać do wybranej szkoły w Ustce oraz na praktyki w najlepszych lokalnych firmach i profesjonalnie wyposażonych pracowniach szkolnych. (A.K.)



Fot. SAS

Grand Prix dla Głobina-Stanięcina



Fot. SAS

W Jezierzycach odbył XIV Powiatowy Turniej Kół Gospodyń Wiejskich. Zwyciężyło KGW Głobino-Stanięcino.

Do Jezierzyc 9 marca przyjechały koła z: Barcina, Kobylnicy, Głobino-Stanięcino, Łebienia, Kępic, Jezierzyc i Stowięcina. Rywalizowały w pięciu konkurencjach: produkt tradycyjny - śledzie marynowane w oleju, tablica 1918 - 2018 My Polacy, moda - otulona kwiatami, scenka kabare-

towa - kagiewuszki kandydują - program wyborczy na wesoło, piosenka z inscenizacją - o mojej mamie.

Po podliczeniu punktów najlepsze okazało się Koło Gospodyń Wiejskich Głobino-Stanięcino. Jemu przyznano Grand Prix i czek w wysokości 3 tys. zł, który wręczył Paweł Lisowski - starosta słupski.

Zwycięzca turnieju uzyskał prawo reprezentowania powiatu słupskiego na wojewódzkim turnieju w Żukowie. (CER)

Pięć lat osiągnąć!

Grupa teatralna „Epitem po Metaforze” z Domu Pomocy Społecznej w Lubczewie świętowała pięcioletnie działalności artystycznej. Uroczystość była okazją do podsumowania dokonań.

Obchody przygotowano w Domu Kultury w Zaleskich. Było się czym chwalić, bo w ciągu pięciu lat działalności grupa zdobyła 34 nagrody teatralne, w tym 9 międzyna-

rodowych. Prezentowała się na wielu przeglądach i konkursach w różnych zakątkach kraju.

To, że dokonania grupy reprezentują bardzo wysoki poziom jest zasługą m.in. jej opiekuna Krzysztofa Surowca, któremu nie brakuje pomysłów, potrafi dobrać odpowiedni repertuar i doskonale zna swoje artystyczne rzemiosło.

Jubileusz świętowany 7 marca w Zaleskich uświetni-

ły gościnne występy artystów z zaprzyjaźnionych Domów Pomocy Społecznej w Machowinie, Machowinku i Przytocku, Warsztatów Terapii Zajęciowej w Sycewicach, Zakładu Opiekuńczo-Leczniczego w Kobylnicy, Domu Pomocy Społecznej nr 1 w Lęborku oraz grup wokalnych „Retro” z Charnowa i „Babiniec” z Rowów.

Gratulacje od władz powiatu słupskiego artystom z Lubczewa złożył wicestarosta Rafał Konon. (DPS)



Fot. DPS Lubczewo

70 lat biblioteki

70-lecie działalności obchodziła Gminna Biblioteka Publiczna w Kobylnicy. Na uroczystościach rozstrzygnięto konkurs na Czytelnika Roku 2018. Rekordzistką okazała się Lena Wojtaszek, która przeczytała 303 książki.

Biblioteka w Kobylnicy jest jedną z trzynastu, które otwarto 16 stycznia 1949 roku. Powstała w budynku ówczesnego urzędu gminy przy ulicy Głównej 22. Przez pierw-

sze dziesięć lat kierowała nią Amelia Ciechowska. Następnie na 28 lat z biblioteką związała się Czesława Bubnowska, która pracowała w niej do emerytury. Na początku nie było łatwo, bo biblioteka zajmowała ciasne pomieszczenia i trzeba było przenieść ją do budynku przy ulicy Głównej 1. Ale najpierw należało go wyremontować i odpowiednio przygotować. Przeprowadzka odbyła się dopiero we wrześniu 1964 roku. Z końcem marca 1992 Gminna Biblioteka Publiczna z filiami została połączona z

Gminnym Ośrodkiem Kultury i podlegała bezpośrednio dyrektorowi GOK. Samodzielną instytucją stała się ponownie 19 lat później. W 2011 roku przeniosła się do nowego budynku Gminnego Centrum Kultury i Promocji. Dziś, poza główną siedzibą przy ulicy Wodnej, ma jeszcze trzy filie - w Kwakowie, Sycewicach i Wrzącej. Od początku zaangażowana jest w życie kulturalne gminy. Prowadzi akcje czytelnicze, organizuje spotkania autorskie, konkursy literackie i poetyckie.

- W imieniu samorządu powiatowego chciałem pani serdecznie pogratulować tego pięknego jubileuszu. Pogratulować osobiście pani dyrektor i pani współpracownikom, byłym i obecnym - powiedział starosta słupski Paweł Lisowski, zwracając się od obecnej dyrektorki biblioteki Renaty Sztabnik. - Pragnę skierować także słowa uznania w stronę wspólnych czytelników, ponieważ biblioteka to wspomniani już pracownicy, ale przede wszystkim czytelnicy, którzy ją tworzą. (CER)

Mistrzowie ortografii

Mariusz Roguski z Zespołu Szkół Agrotechnicznych im. Wł. Reymonta w Słupsku w grupie uczniów szkół ponadgimnazjalnych, a Iwo Miśkowiak ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Ustce w grupie szkół podstawowych i klas gimnazjalnych zostali Mistrzami Ortografii Powiatu Słupskiego 2019.

Konkurs rozegrano po raz dwudziesty w Zespole Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w Ustce. Wzięli w nim udział uczniowie pięciu słupskich szkół ponadgimnazjalnych: Zespołu Szkół Agrotechnicznych, Zespołu Szkół Mechanicznych i Logistycznych, Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1, II Liceum Ogólnokształcącego im. Adama Mickiewicza, Zespołu Szkół Ogólnokształcących i Technicznych w

Ustce, oraz siedmiu szkół podstawowych i gimnazjów: Szkół Podstawowych nr 1, 2, 3 w Ustce, Szkoły Podstawowej w Objeździe, Szkoły Podstawowej w Zaleskich, II Liceum Ogólnokształcącego (z klasami gimnazjalnymi) w Słupsku i Społeczne Gimnazjum UTO w Ustce.

W sumie do konkursowych zmagani z ortografią stanęło 54 uczestników. Jury wysoko oceniło poziom ich wiedzy i umiejętności ortograficznych. W kategorii szkół ponadgimnazjalnych, poza zdobywcą pierwszego miejsca Mariuszem Rogulskim z ZSA w Słupsku, mistrzami ortografii powiatu słupskiego, zostali także Anna Bagińska z II Liceum Ogólnokształcącego im. A. Mickiewicza w Słupsku (II miejsce) i Maciej Prądyński z Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych nr 1 w Słupsku (III miejsce).



Fot. SAS

W kategorii klas gimnazjalnych i VII-VIII szkół podstawowych, poza zdobywcą pierwszego miejsca Iwo Miśkowiakiem ze Szkoły Podstawowej nr 1 w Ustce, w gronie zwycięzców znaleźli się także Adam Zarzycki ze Społecznego Gimnazjum UTO w Ustce (II miejsce) i Helen Aslan ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Ustce (III miejsce).

Na uroczyste podsumowanie olimpiady przybył wicestarosta słupski Rafał Konon, któ-

ry wręczył laureatom nagrody ufundowane przez słupskie starostwo. Początkowo olimpiada była skierowana do uczniów szkół ponadgimnazjalnych działających w powiecie słupskim, później została rozszerzona o kategorię gimnazjów, a od dwóch lat biorą w niej udział także uczniowie najstarszych klas szkół podstawowych z powiatu. Olimpiada cieszy się coraz większym zainteresowaniem. (zs)

Zdrowie dzieci i... nauczycieli

Psychofizycznym uwarunkowaniom pracy nauczycieli poświęcona była 14. konferencja z cyklu „Zdrowie dzieci i młodzieży” zorganizowana w Akademii Pomorskiej w Słupsku przez Ośrodek Doskonalenia Nauczycieli, Starostwo Powiatowe i Akademię Pomorską.

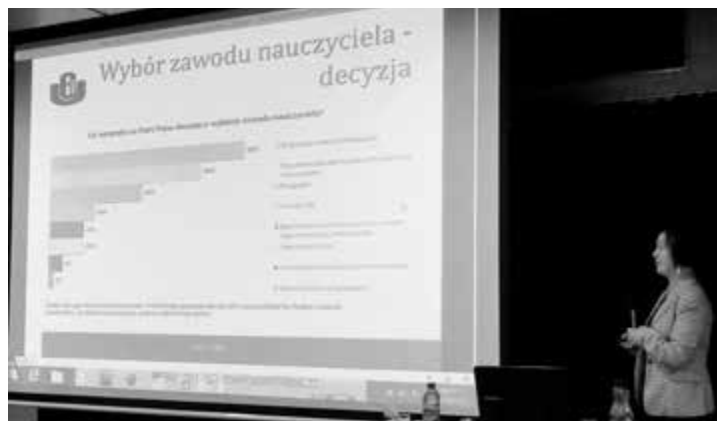
Konferencja adresowana była do przedstawicieli samorządów, placówek oświatowych, ochrony zdrowia pracujących z dziećmi i młodzieżą oraz instytucji zainteresowanych edukacją zdrowotną. Spotkała się z dużym zainteresowaniem. Uczelniana aula wypełniła się prawie do ostatniego miejsca.

Potwierdziło się, że wiele jest uwarunkowań pracy nauczycieli i wiele związanych z nimi problemów, które odciśkają się na zdrowiu nie tylko samych nauczycieli, ale także ich uczniów. Problem nie jest prosty, ale trzeba go przezwyciężać. Dlatego dr Ewa Piotrowska

i dr Grzegorz Piekarski z Akademii Pomorskiej mówili o wypaleniu zawodowym nauczycieli i sposobach radzenia sobie w trudnych sytuacjach. Zaprezentowali najnowsze wyniki badań na ten temat przeprowadzonych wśród nauczycieli Specjalnego Ośrodka Szkolno-Wychowawczego w Słupsku.

Prof. dr hab. Mariola Bidzan z Uniwersytetu Gdańskiego starała się odpowiedzieć, czy praca nauczyciela tylko uszlachetnia, czy także uszczęśliwia? Okazuje się, że rzadko uszczęśliwia, ale mogłaby taką być, gdyby nauczyciele potrafili bardziej sobie radzić z problemami. Niestety, nie zawsze wiedzą, jak się w trudnych sytuacjach zachować, nie zawsze też w warunkach polskiej szkoły i jej organizacji mogliby sobie pozwolić na zastosowanie w praktyce dobrych rad specjalistów.

Zastanawiano się czy szkoła może być bez nerwów, i dlatego warto być uważnym nauczycielem? Tego tematu pod-



Fot. J. Maziejuk

jął się mgr Jarosław Chybicki - dyrektor merytoryczny Sopotkiego Instytutu Rozwoju Biznesu. Natomiast dr Anetta Jaworska z Akademii Pomorskiej w Słupsku starała się odpowiedzieć, jak zachować równowagę między życiem osobistym i zawodowym, a mgr Piotr Modzelewski - także z Akademii Pomorskiej - jak wzmacniać odporność psychiczną i jak nauczyciele powinni zmieniać styl swego życia.

W panelu dyskusyjnym poprowadzonym przez dr. G. Piekarskiego starano się odpowiedzieć, co może wzmoc-

nić pracę nauczycieli. W dyskusji zgodzili się wziąć udział praktycy: Jolanta Wiśniewska - dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 3 w Słupsku, Danuta Narożna - nauczyciela IV Liceum Ogólnokształcącego w Słupsku, Renata Kołosowska - konsultant w Ośrodku Doskonalenia Nauczycieli w Słupsku, Rafał Kawka - uczeń Zespołu Szkół Budowlanych i Kształcenia Ustawicznego w Słupsku, Dariusz Młynarkiewicz - radca prawny i Anna Hać - nauczycielka w Ośrodku dla Nieśłyszących i Słabosłyszących w Wejherowie. (z)

Aktywny przewodnik i publicysta

Nasz redakcyjny kolega Włodzimierz Lipczyński - zasłużony krajoznawca, przewodnik i pilot turystyczny ziemi słupskiej został udekorowany Złotą Honorową Odznaką PTTK. Uroczystość odbyła się podczas Regionalnego Sejmiku Krajoznawczego w Sali Rajców Urzędu Miasta w Łęborku.

Organizatorzy sejmiku zaprosili do Łęborka krajoznawców, przewodników turystyki, członków i sympatyków PTTK z całej Polski. Decyzję o udekorowaniu W. Lipczyńskiego Złotą

Honorową Odznaką PTTK podjął Zarząd Główny PTTK w Warszawie uchwałą z 13 lutego br.

Laudację o odznaczonym wygłosił urzędujący sekretarz Zarządu Regionu w Słupsku, Janusz

Grabowski. Przypomniął, że W. Lipczyński jest członkiem PTTK od 1963 roku, w organizacji tej przeszedł wszystkie szczeble, od pilota wycieczek turystycznych, instruktora krajoznawstwa po przewodnika terenowego. Był przewodniczącym Komisji Krajoznawczej Zarządu PTTK Województwa Słupskiego, przewodniczącym Zespołu Inwentaryzacji Krajoznawczej i Komisji Krajoznawczej Zarządu Głównego PTTK w Warszawie.

Dekoracja odznaką PTTK zgromadziła w Sali Rajców łęborskiego ratusza wielu przewodników i krajoznawców zaprzyjaźnionych z dekorowanym i ceniących jego turystyczną pasję, niektórzy przyjechali z zagranicy. Była to wyjątkowa chwila dla tego zasłużonego instruktora krajoznawstwa, który ciągle jest nie tylko aktywnym przewodnikiem, ale również organizatorem wycieczek i przede wszystkim autorem wielu poczytnych publikacji i relacji ze swoich wędrówek po kraju i świecie.

Serdecznie gratulujemy panu W. Lipczyńskiemu odznaczenia i pięknej pasji. (z)



Fot. J. Maziejuk

Kwiaty i pejzaże

W siedzibie słupskiego starostwa na pierwszym piętrze można obejrzeć wystawę malarstwa Stanisławy Luhm, mieszkanki gminy Damnica.

Autorka urodziła się 1948 roku na terenie byłego ZSRR. W 1957 przyjechała do Polski, a w Damnicy zamieszkała trzy lata później. Tam się również uczyła. Obecnie mieszka w miejscowości Budy.

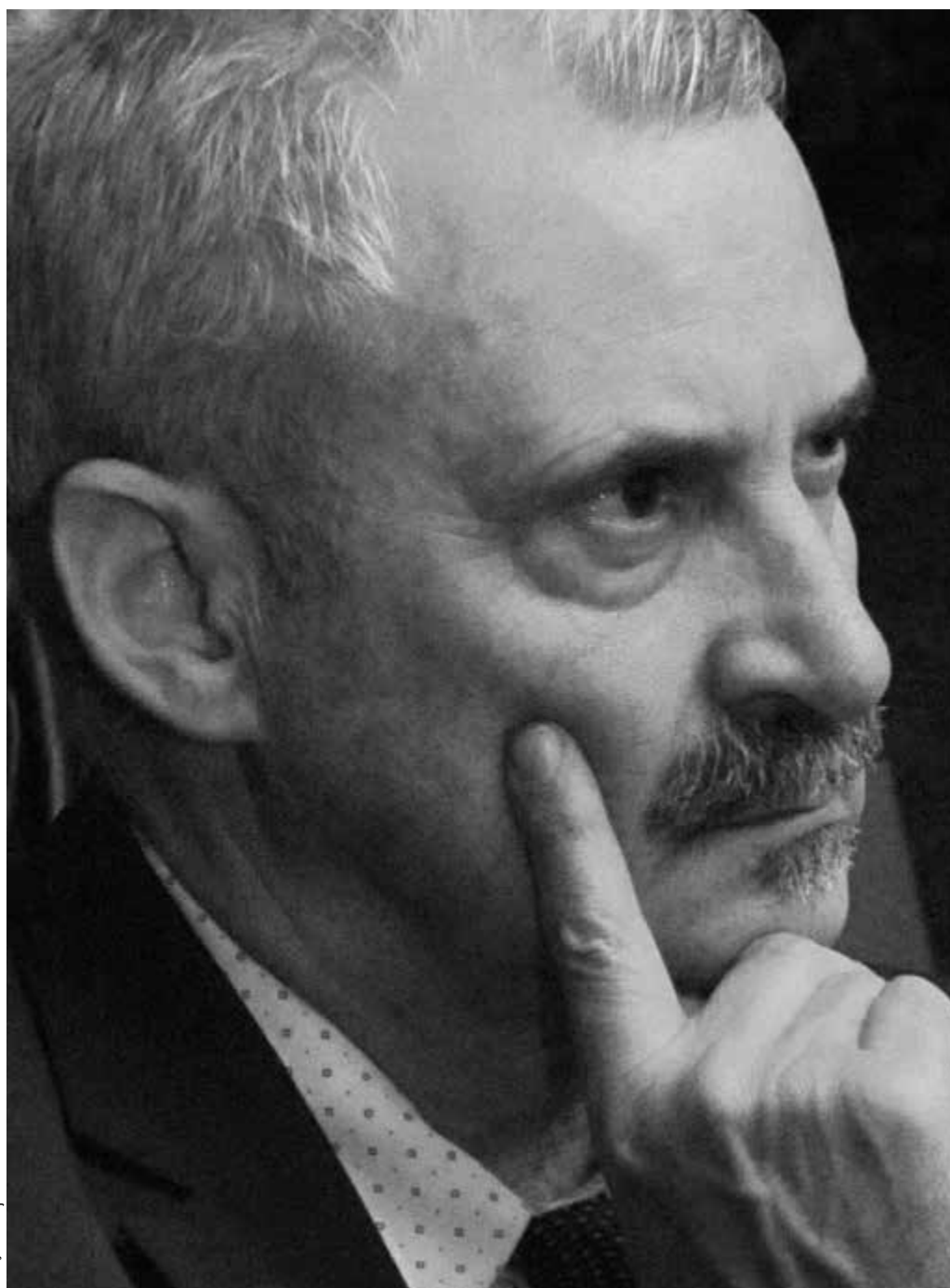
Zawsze miała zdolności malarskie, ale na dobre zaczęła malować dopiero po śmierci syna. Jak sama wspomina, po tragedii życiowej, której doświadczyła sztuka stała się dla niej sposobem na dalsze, niełatwe życie.

Na wystawie dominują obraz oraz przedstawiające barwne kwiaty uchwycone w wazonach, ale także gdzieś na łące, w niekoniecznie pomorskiej naturze. Można też zobaczyć kilka równie barwnych pejzaży. (CER)

Gmina Damnica ma potencjał

Myślę, że budowa drogi S6 spowoduje większe zainteresowanie inwestorów i rozwój indywidualnego budownictwa na terenach przylegających do planowanej inwestycji. Wtedy skorzysta też nasza gmina. Zależy nam również na przyspieszeniu gazyfikacji całego słupskiego regionu, bo na tym damnicka gmina powinna też skorzystać.

Rozmowa z Andrzejem Kordylasem – nowym wójtem gminy Damnica, zasłużonym samorządowcem i społecznikiem.



Fot. J. Maziejuk

- Pana długoletnia działalność na stanowisku dyrektora Zespołu Szkół w Damnicy wzbudza szczególne uznanie. Na początek proszę przybliżyć szczególne osiągnięcia szkół w Damnicy i przypomnieć, jak długo jest pan związany z tą miejscowością

- Bardzo dziękuję za dobre słowo o działalności mojej szkoły. Z gminą Damnica jestem związany od lat osiemdziesiątych. Jako młody człowiek pierwszą pracę podjąłem w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Słupsku, jako asystent na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym. Po zamieszkaniu w Domaradzu zostałem dyrektorem tamtejszej szkoły, a następnie dyrektorem w Zespole Szkół w Damnicy. Tworzyłem gimnazjum w Damnicy, które niestety w tym roku kończy swoją działalność w związku z reformą oświaty. Lata pracy w zawodzie nauczycielskim przyniosły mi wiele satysfakcji, pozwoliły zrealizować wiele projektów, innowacji i pomysłów, które sprawiały, że szkoła aktywnie działała w środowisku lokalnym i rozwijała kompetencje uczniów na wielu płaszczyznach. Mocne i nieco słabsze strony oświaty gminnej znam doskonale, dlatego będę starał się wykorzystać to swoje doświadczenie, pracując teraz na stanowisku wójta gminy.

- Co ogranicza rozwój damnickiej gminy, czy tylko małe zainteresowanie inwestorów?

- Gmina Damnica jest gminą rolniczo-leśną, duża część powierzchni należy do Lasów Państwowych, dlatego między innymi mamy problemy z terenami pod inwestycje i budownictwo mieszkaniowe. Bliskość Słupska nie sprzyja też rozwojowi usług. Mała działalność gospodarcza przestaje być opłacalna i przedsiębiorcy są zmuszeni zamykać swoje firmy lub ograniczać ich działalność. Myślę, że budowa drogi S6 spowoduje większe zainteresowanie inwestorów i rozwój indywidualnego budownictwa na terenach przylegających do planowanej inwestycji. Wtedy skorzysta też nasza gmina. Zależy nam również na przyspieszeniu gazyfikacji całego słupskiego regionu, bo na tym damnicka gmina powinna też skorzystać.

- Czy mam rozumieć, że gmina Damnica nie ma dzisiaj znaczącego potencjału rozwojowego?

- Nie do końca tak jest. Poza rysującą się możliwością lepszego wykorzystania terenów znajdujących się

wokół powstającego węzła drogi S6, możliwe jest zagospodarowanie przestrzeni publicznej na potrzeby turystyki i rekreacji z wykorzystaniem na przykład walorów rzeki Łupawy. Spore możliwości daje wykorzystanie i promowanie też odnawialnych źródeł energii, w tym działań związanych z termomodernizacją obiektów i to nie tylko użyteczności publicznej. Zawsze jest coś do zrobienia w zakresie budowy i modernizacji infrastruktury, a to zawsze stwarza pewne możliwości rozwoju. Nasz potencjał można też upatrywać w racjonalnym wykorzystaniu zasobów przyrodniczych i kulturowych, tworzeniu warunków do powstania lokalnych inicjatyw, w tym również w rozwoju przedsiębiorczości ukierunkowanej na ekologiczny, turystyczny i rolniczy charakter gminy. Zawsze nieograniczone możliwości daje cała sfera usług społecznych, ale jej rozwój uzależniony jest od posiadanych środków. Zakładam, że na rozwój tego obszaru pieniądze też znajdziemy.

- Skoro nie jest tak źle, to zapytam, ile w gminie zarejestrowanych jest podmiotów gospodarczych? Zaliczacie się do średnio czy dobrze rozwijających się gmin?

- Mamy na naszym terenie zarejestrowanych około 400 podmiotów gospodarczych, ponad 95 procent z nich zaliczanych jest do sektora prywatnego. Najwięcej naszych podmiotów zajmuje się handlem hurtowym, detalicznym i budownictwem. Kolejne aktywne branże to: mechaniczna, przetwórstwo przemysłowe oraz tzw. pozostała działalność usługowa. Najpopularniejsze jest jednoosobowe prowadzenie działalności i to właśnie małe firmy mają największy procentowy udział w zarejestrowanych podmiotach. Działalność gospodarczą na naszym terenie prowadzą też spółki handlowe i inne bardziej zorganizowane podmioty, ale ilościowo jest ich zdecydowanie mniej. To jednak wcale nie oznacza, że odgrywają one mniej znaczącą rolę. Odpowiadając na drugą część pytania, myślę, że nasza gmina można uznać za średnio się rozwijającą. Właśnie m.in. dlatego, że prowadzą działalność również duże podmioty gospodarcze, takie jak: Farm Frites Poland Dwa, WOSANA S.A., Kospel, ABATEC Sp. o.o. czy Toma Sp. z o.o. To one płacą największe podatki.

- No właśnie. Jak gmina wypracowuje swoje dochody?

- Nasze dochody w budżecie stanowią ok. 39 proc. i składają się na nie głównie podatki i opłaty lokalne. Na podatki i opłaty lokalne składają się z kolei: podatek dochodowy od osób fizycznych, podatek od nieruchomości, podatek rolny, tzw. wpływy z innych opłat, podatek leśny, podatek od czynności cywilnoprawnych, wpływy z opłaty skarbowej i za wydawanie zezwoleń na sprzedaż alkoholu, podatek dochodowy od osób prawnych, podatek od środków transportowych, wpływy z opłat za użytkowanie wieczyste i inne jeszcze mniej znaczące. Na tzw. pozostałe dochody składają się: wpływy z usług, opłaty za korzystanie z wychowania przedszkolnego, wpływy z najmu i dzierżaw, dochody związane z zadaniami zleconymi, koszty egzekucyjne i inne. Dotacje celowe stanowią w naszym budżecie prawie 25,5 proc. wszystkich środków i składają się na nie dotacje: na realizację zadań z zakresu administracji rządowej, na realizację własnych za-

- Na nasz budżet na 2019 rok po stronie dochodów składa się ogółem 26 477 198,00, a wydatków - 28 408 218,07 zł. Przychody stanowią 3 349 649,07 zł, rozchody - 1 418 629,00 zł, zaplanowany deficyt wynosi 1 931 020,07 zł. Uwzględniając lata wcześniejsze, stan zadłużenia przy takim zaplanowaniu dochodów i wydatków w 2019 roku, na koniec roku będzie wynosił 8 677 649,07 zł, co stanowić będzie 32,7 proc. prognozowanych dochodów.

- To chyba spore zadłużenie. Co jest najważniejsze w działalności gospodarczej i podatkowej gminy?

- W działalności gospodarczej zawsze najważniejsze jest pozyskanie nowych inwestorów, aby podmiotów prowadzących działalność gospodarczą było jak najwięcej. To one bowiem dostarczają dochodów z tytułu podatków. Ważne jest też pozyskanie jak największej ilości środków zewnętrznych - z różnych programów i funduszy. Dzięki nim z kolei można



Fot. J. Maziejuk

dań bieżących i zadań w ramach programów finansowanych ze środków europejskich. Pozostałe 35 proc. dochodów to subwencje: główna oświatowa i wyrównawcza oświatowa. Myślę, że nie sposób nie zauważyć, jak złożony jest budżet gminny i od ilu wpłat uzależniony. Trzeba się dobrze nagimnastykować, żeby mieć te pieniądze w budżecie i żeby na wszystko wystarczyło.

- To jak duży jest roczny budżet gminy?

więcej zrobić dla społeczności gminnej. Trzeba pamiętać, że gmina to przede wszystkim mieszkańcy i podstawowym celem naszej działalności jest zaspakajanie ich zbiorowych potrzeb.

- Ile gmina pozyskuje środków zewnętrznych?

- W tym roku dopiero ubiegamy się takie środki i nie powiem panu ile pozyskamy. Natomiast w roku ubiegłym udało się naszej gminie pozyskać prawie 1,7 miliona złotych. Może to

nie jest dużo, ale nawet takie dodatkowe środki w budżecie sporo znaczą.

- Jak kształtuje się gmina przestrzeń?

- Na ponad 16,7 tysiąca hektarów powierzchni ogółem, ponad 10 tysięcy stanowią użytki rolne, a prawie 5 tysięcy lasy. Dlatego dominuje u nas rolnictwo i gospodarka leśna, a z tą ostatnią związane jest przetwórstwo drewna. W działalności dużych gospodarstw rolnych przeważa produkcja roślinna, głównie ziemniaka, ale są też gospodarstwa prowadzące hodowlę trzody chlewnej. Ośrodek Hodowli Zarodowej w Bobrownikach specjalizuje się w prowadzeniu zarodowej hodowli zwierząt i obrocie takimi zwierzętami. Głównym celem działalności spółki jest bowiem upowszechnienie postępu biologicznego. Centralny Ośrodek Badania Odmian Roślin Uprawnych w Karżnicze - mamy taki na terenie gminy - prowadzi usługową działalność doświadczalną. Jak więc widać odgrywamy ważną rolę we wprowadzaniu postępu rolniczego. Jesteśmy gminą typowo rolniczo-leśną ze sporymi możliwościami rozwoju.

- Po czym pan tak sądzi?

- Chociażby po działalności naszych dużych spółek rolnych i gospodarstw, i po tym, że nie ma u nas wolnych gruntów. Jesteśmy gminą, w której po transformacji ustrojowej jako pierwsze zaczęły powstać duże podmioty rolne, przejmować grunty i prowadzić na dużą skalę produkcję rolną. Takim przykładem jest spółka Farm Frites Dwa zajmująca się uprawą i przechowywaniem ziemniaków dla lęborskiej fabryki frytek. Produkcję tę rozwija od ponad dwudziestu lat, angażuje się w budowę infrastruktury gminnej, wspiera inicjatywy społeczne. Przykładem jest też Nadleśnictwo Damnica. Wystarczy porównać jaką prowadzi gospodarkę leśną i jakie uzyskuje efekty w tej działalności.

- Widziałem jaką leśnicy zbudowali sobie nowoczesną siedzibę i pamietam jaką mieli jeszcze nie tak dawno. Różnica ogromna, zupełnie inny świat. Czy można tak samo powiedzieć o innych sprawach, na przykład z zakresu gospodarki komunalnej?

- Nie wiem czy ta odpowiedź pana zadowoli, ale poziom skanalizowania gminy przekroczył już 90 procent. Sieć wodociągowa od dawna pokrywa 100 procent gminy. Na bieżąco prowadzone są prace modernizacyjne.

Poprawiła się w znacznym stopniu jakość wody pitnej dzięki zbudowaniu w hydroforniach stacji uzdatniania. W najbliższym latach mamy zamiar unowocześnić i zwiększyć wydajność oczyszczalni ścieków. Realizowane są inwestycje drogowe. Wspólnie z powiatem słupskim wykonanych zostało już wiele newralgicznych odcinków. Obecnie trwa przebudowa mostu w Damnicy na drodze powiatowej. Jest to bardzo ważna inwestycja, bo stary most zagrażał bezpieczeństwu. Nie był remontowany od wielu lat, żeby dokonać jego przebudowy trzeba było zbudować most zastępczy, zapewnić przejazd mieszkańcom, firmom transportowym i innym firmom prowadzącym działalność na terenie gminy. To było duże wyzwanie, ale razem z Zarządem Dróg Powiatowych w Słupsku wywiązujemy się z tego zadania. Mam osobistą satysfakcję, bo jeszcze jako radny powiatowy mocno zabiegałem o tę inwestycję i o to, by przebudowa starego mostu nie sparaliżowała życia mieszkańców gminy.

Jeśli zapytałby pan jeszcze o gospodarkę odpadami to w naszej gminie zdecydowana większość mieszkańców zadeklarowała, że będzie je segregować. Z moich obserwacji oraz z informacji uzyskanych od firmy zbierającej odpady, wynika, że system działa poprawnie, a mieszkańcy dostosowali się do nowych zasad. Występuje problem z wyegzekwowaniem płatności za odbiór śmieci od części mieszkańców, ale sądzę, że z nim się też uporamy. Sprawy ochrony środowiska są mi tak samo bliskie, jak wiele innych gminnych spraw.

- Wiem coś na ten temat, bo przypominam sobie jak będąc dyrektorem Zespołu Szkół w Damnicy zachęcał pan młodzież do udziału w akcjach Związku Miast i Gmin Dorzecza Słupi i Łupawy, którego byłem założycielem i dyrektorem. Gmina Damnica należała do tego związku...

- Szkoła, którą kierowałem aktywnie uczestniczyła w programach edukacyjnych, szkoleniach i wycieczkach programowych organizowanych przez wspomniany przez pana związek. Szczególnie nasza młodzież gimnazjalna zaangażowała się w kilkuletnie badania czystości wód lokalnych prowadzone w ramach akcji ogólnopolskiej „Greenpeace Polska”.

- Dziękuję panu za rozmowę.

Rozmawiał:

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Fundacja Imperio podejmuje wyzwania i zamierza inicjować pozytywne zmiany. Chcemy pokazać ludziom, że mogą sami, na miarę swoich możliwości zmieniać swoje otoczenie, budować dobre relacje, dbać o tradycje i wspólne dziedzictwo, promować wartości i angażować się w życie społeczne. Nasze działania kierujemy głównie do seniorów ze Słupska i powiatu słupskiego. Zamierzamy aktywizować grupy społeczne osób w wieku 60+, stwarzając dodatkowe możliwości i warunki do zachowania sprawności fizycznej, możliwości uczestnictwa w życiu kulturalnym i podejmowania działań na rzecz dobra wspólnego. Posiadając 30-letnie doświadczenie pracy w oświacie adresujemy swoje projekty także do obszarów edukacji i kultury.

Chcemy inicjować, animować i pokazywać możliwości. Bardzo często potrzeba inspiracji, by mieszkańcy sami chcieli włączyć się w proces pozytywnych zmian, zarówno w swoim otoczeniu, jak również w swoim życiu. Naszą misją jest inspirowanie zmian poprzez innowacyjne projekty i nowatorskie pomysły. Budujemy społeczeństwo aktywne, świadome i wrażliwe na potrzeby innych. Dla nas nie liczy się to, ile posiadasz. Ważne jest, ile dajesz innym i jak się z nimi dzielisz.

„Pięć kroków do aktywnej, pogodnej i zdrowej starości” to nasz pierwszy projekt. Przekonaliśmy do niego Fundację Lotto i Urząd Miejski w Słupsku. To dzięki ich dofinansowaniu możliwa jest realizacja zadań aktywizujących i integrujących grupę seniorów. Dziesięciomiesięczny cykl spotkań tematycznych i wycieczek krajoznawczych spotkał się z zainteresowaniem i został bardzo życzliwie przyjęty. Na pożegnanie lata byliśmy w Słowińskim Parku Narodowym, poznaliśmy zbiory Muzeum Przyrodniczego w Smołdzinie i przeszliśmy z kijkami urokliwą trasę w Czołpinie. Dopisała piękna pogoda, dobre humory i kondycja uczestników. Pyszne pierogi „U Bernackich” dopełniły radości. Jesienią odwiedziliśmy Warcino, zwiedziliśmy Pałac Bismarcka i wędrowaliśmy ścieżkami usłanymi dywanem kolorowych liści.

Chcemy być z wami



FUNDACJA IMPERIO
OD 2007

W czerwcu ubiegłego roku wśród lokalnych organizacji pozarządowych zainicjowała działalność Fundacja Imperio. Skąd pomysł na taką nazwę? Otóż, znaczenie łacińskiego słowa „imperio” to „rząd”, „władza”. Chcemy pokazać mieszkańcom naszego regionu, że nie należy czekać, aż ktoś poprawi warunki, udoskonali przepisy i podniesie poziom naszego życia.



Nie było zimowego snu. W styczniu ruszyliśmy nad skutą lodem zbiornik w Leśnym Dworze. Obserwowaliśmy tropy zwierząt, które rozpoznawał i objaśniał przewodnik, pan Edward Szymański. Wspólny obiad „U Gospodarza” w Dębnicy Kaszubskiej zakończył naszą zimową wyprawę. Wiosną poznamy piękno „Krainy w Kratę”. Swołowo będzie kolejnym krokiem do aktywnej starości!

Wyprawy w teren przeplatamy spotkaniami, które odbywają się w Słupskim Centrum Organizacji Pozarządowych i Ekonomii Społecznej przy ulicy Niedziałkowskiego 6. Gościliśmy już specjalistów od chorób



Fot. Archiwum Autora

XXI wieku, ratownictwa przedmedycznego, diety i psychologii. Każde spotkanie to okazja do zdobycia nowej wiedzy i umiejętności, a także spotkań i rozmów.

Jednym z priorytetów naszej działalności jest aktywność fizyczna połączona z poznawaniem walorów turystycznych, krajobrazowych i kulturowych regionu. Dużą wagę przykładamy także do podtrzymywania troski o wspólne dziedzictwo i upamiętniania ważnych wydarzeń i osób, które odegrały znaczącą rolę w dążeniach niepodległościowych oraz w kształtowaniu kultury. Dlatego razem z seniorami będziemy przypominać m.in. Powstania Śląskie, wybuch II wojny światowej, odnowimy pamięć o Gustawie Herlingu-Grudzińskim, Juliuszu Kossaku, Fryderyku Chopinie czy Zbigniewie Herbertcie. W planach mam przygotowanie wystaw, wieczorów poezji i konkursów.

Do udziału w organizowanych wydarzeniach zapraszamy seniorów ze Słupska i powiatu słupskiego. Z wieloma inicjatywami zamierzamy dotrzeć do gminnych miejscowości powiatu słupskiego. Dlatego zapraszamy do współpracy instytucje kultury, ośrodki pomocy społecznej, twórców, przedsiębiorców, parafie i osoby prywatne. O wszystkich projektach informujemy na stronie internetowej www.fundacijimperio.pl.

Joanna i Piotr Sikorscy
Słupsk

Szkoła Podstawowa w Obje

Podczas obchodzonego trzy lata temu jubileuszu siedemdziesięciolecia szkoły w Objeździe zrodziła się idea poszukiwania patrona. Najwyższy czas, by na dobre się zadomowić, zarzucić kotwicę, poczuć się u siebie. Czas nadać szkole imię i sztandar.



Położony poza wsią przy lesie nowoczesny budynek z dobrze wyposażonymi izbami lekcyjnymi, pełnowymiarową salą gimnastyczną, świetlicą i zapleczem gastronomicznym ma szczęście do dobrych gospodarzy, dlatego mimo upływu lat wciąż wygląda jak spod igły. Drzewa wokół urosły i świadczą o upływie czasu. Koncepcja budowy szkoły i jej realizacja przypadła na czas wielkich przemian w Polsce. Byłam wówczas najpierw zastępcą gminnego dyrektora szkół, następnie w latach 1986 - 1991 dyrektorem. Na początku lat dziewięćdziesiątych żyliśmy głównie przemianami politycznymi. Upadała PRL, a w Objeździe, dzięki uporowi i determinacji ludzi skupionych wokół idei budowy szkoły, powstawał nowy budynek szkolny, symbol wspól-

noty, narodzin nowego, powstawała kotwica kultury, bo i taką funkcję pełnią wiejskie szkoły, czego świadomość mieli wszyscy zaangażowani. Ze wspólnej inicjatywy nauczycieli i lokalnej społeczności powstał Społeczny Komitet Budowy Szkoły w Objeździe, któremu przewodniczyli kolejno: Bogusław Huczyński (1984 - 1986), Czesław Wąwoźniak (1986 - 1988), Teresa Pokorska (1988 - 1992), Zdzisław Lesiecki (1992 - 1997). Oczywiście i konieczne było osobiste i „urzędowe” zaangażowanie w budowę szkoły wójta gminy Ustka, Tomasza Wszółkowskiego. Pierwszy etap budowy zakończył się w 1993 roku. Segment dydaktyczny przekazano szkolonej społeczności oddając klucze nowej dyrektor pani Zorzy Sędzickiej w czasie Wojewódzkiej Inau-

guracji Roku Szkolnego 1993/1994. Drugi etap budowy - zaplecze żywieniowe - oddano 12 września 1994 roku. Kolejna Wojewódzka Inauguracja Roku Szkolnego 1997/1998 wiązała się z oddaniem wspaniałej hali sportowej. Budowę drugiego budynku dydaktycznego zakończono w sierpniu 2001 roku. W sferze marzeń pozostała budowa pływalni, o którą zabiegał pan Tomasz Wszółkowski. 1 września 2009 powstał Zespół Szkół Samorządowych w Objeździe, składający się ze szkoły podstawowej i gimnazjum. Dyrektorem został pan Jacek Goreński, zastępcą dyrektora pani Małgorzata Rozwadowska.

Zmieniają się ministrowie, zasady organizacji systemu szkolnego, ale idea wiejskiej oświaty jest wciąż ta sama: „Takie będą Rzeczpospolite, ja-

Objeździe ma imię i sztandar

kie ich młodzieży chowanie”. Jej rozumienie stało się zaczynem trzyletniego okresu prac przygotowujących nadanie szkole imienia i sztandaru. 8 marca 2019 roku miało miejsce długo oczekiwane wydarzenie. Od tego dnia młodzież ze wsi: Bałamątek, Dalimierz Przewłocki, Dębina, Dominek, Gąbino, Machowinko, Machowino, Objazda, Orzechowo, Osieki Słupskie, Poddąbie, Przewłoka, Redwanki, Rowy, Wytowno, Zapadłe kształcić się będzie w Publicznej Szkole Podstawowej im. Ludzi Morza w Objeździe.

Podczas uroczystości pan Jacek Goreński, dyrektor szkoły, odniósł się do wyboru patrona. Odpierał wątpliwość wynikającą z ogólności, braku wyrazistości, przypominając nazwiska ludzi morza w osobach wielkich żeglarzy, m.in. Leonida Teligi i Krzysztofa Baranowskiego, ale również tych wszystkich, których życie związane jest z pracą na morzu, w tym rybaków i ich rodzin. Respekt wobec praw natury, wiedza, odwaga, dzielność, honor i pracowitość, to cechy, które prezentują ludzie morza, które wskazywać będą kierunek pracy dydaktycznej i wychowawczej w szkole. Przypomniawszy również historię sztandaru jako symbolu, znaku jedności i tożsamości, więzi z historią i tradycją, najbliższym środowiskiem.

Sztandar Szkoły Podstawowej w Objeździe w awersie na czerwonym tle niesie napis przywołujący wartości ważne dla Polaków od początku historii: „Bóg Honor Ojczyzna Nauka”. W środku pola godło Polski: Orzeł Biały w koronie, znak początku państwa polskiego, symbol dumy i autonomii. W rewersie na granatowym tle znajdują się znaki - symbole: pośrodku róża wiatrów, busola wskazująca właściwy kierunek nawet pośród burzy. Po lewej stronie koło sterowe, symbol sternika, który potrafi przeprowadzić okręt we właściwym kierunku do portu przeznaczenia. W prawym narożniku znajduje się kotwica zanurzona w księżdzie. To symbol zakorzenienia w nauce, kulturze i tradycji, bo tylko naród, który zna własną historię i tradycję jest w stanie istnieć i się rozwijać. W dolnym lewym narożniku znajduje się orzeł marynarki wojen-

nej, znak tych, którzy walczyli o naszą tożsamość w czasie wojny i budują ją w czasie pokoju. Po prawej stronie herb gminy Ustka, znak małej ojczyzny, wartości które wspólnie wyznajemy, znak zakorzenienia.

W uroczystości wziął udział Piotr Józef Müller - pochodzący ze Słupska poseł, w 2018 roku podsekretarz stanu, a od 2019 sekretarz stanu w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Przypomniawszy swoją nauczycielkę Mirosławę Kamieniecką, polonistkę ze Szkoły Podstawowej nr 4 w Słupsku, której wysokie wymagania docenił po latach. Tacy właśnie nauczyciele życzliwi, ale wymagający, przygotowują młodzież do sięgania poza horyzont, poza to co znane

dzime tradycje. - Sztandar to jednocześnie znak jedności i prestiżu - mówiła pani wójt. - Skupionych wokół niego powinna cechować duma, honor, odwaga, ale także humanitaryzm wynikający nie z urzędu, a wypracowany w osobistym rozwoju każdego z nas, humanitaryzm cechujący wspólnotowe działania i dający możliwość rozwoju.

Dyrektor słupskiej delegatury Pomorskiego Kuratorium w Gdańsku, pan Romuald Bieniasz-Krzywiec odczytał list dr Moniki Kończyk - pomorskiego kuratora oświaty z gratulacjami i życzeniami, w którym pani kurator przypomina, że imię i sztandar umacniają tradycję, ale są też zobowiązaniem. - Niech busola, znak umieszczony na sztandarze, wyzna-



Fot. Archiwum SP w Objeździe

o i poznane. Takie cechy mają ludzie morza, takimi byli Krzysztof Kolumb i Ferdynand Magellan, sięgali dalej niż to, co znane. - Takie cechy rozwijacie w sobie - mówił młody polityk zwracając się do uczniów, nauczycieli i rodziców.

Pani Anna Sobczuk-Jodłowska, wójt gminy Ustka gratulując szkolnej społeczności pięknego wydarzenia, mówiła o roli sztandaru jako symbolu tożsamości i wspólnoty dbającej o ro-

cza kierunek patriotycznego wychowania, umacnia związek z małą ojczyzną i krajem - mówił dyrektor Bieniasz-Krzywiec.

Pani Anna Kuźmińska, moja niedawna uczennica, teraz przewodnicząca Komitetu Rodzicielskiego w imieniu szkoły dostrzega geograficzne i historyczne zakorzenienie, autoritet i punkt odniesienia, a sztandar odczytuje jako symbol patriotycznego wychowania oraz inspirację, któ-

rażą niosą sylwetki żeglarzy, marynarzy, rybaków, ratowników. Niech ich odwaga, męstwo, duma i honor prezentowane w codziennej pracy w kontakcie z morskim żywiołem będą inspiracją i wyznaczają kierunek pracy dydaktycznej i wychowawczej wykonywanej z radością i satysfakcją.

Spośród gości głos zabrał profesor Wojciech Skóra z Akademii Pomorskiej w Słupsku, przyjaciel dyrektora Jacka Goreńskiego z lat szkolnych. - W pierwszej chwili - mówił profesor - nazwa, imię „Ludzi Morza” wydawała mi się zbyt szeroka, bo wśród ludzi morza były też postaci mało chwalebne. Ostatecznie przeważał pogląd, że tych wielkich było więcej, a wśród nich na szczególną uwa-

nił się Hel. Po kapitulacji w październiku 1939 roku wraz z załogą został zabrany do niemieckiej niewoli. Tam narzucił jeńcom wysokie standardy moralne: nie podawać Niemcom ręki, nie używać języka niemieckiego. Sam oświadczył, że zapomniał tego języka. Po wyzwoleniu, pod koniec II wojny światowej, zajmował stanowisko I zastępcy szefa Kierownictwa Marynarki Wojennej wcielonej pod dowództwo Admiralicji brytyjskiej. Nie powrócił do kraju. Przebywał na emigracji w Wielkiej Brytanii do 1948 roku, po czym wyjechał do Maroka, gdzie pracował fizycznie przy kutrach, w magazynie oraz przy ładunkach. Od 1955 mieszkał koło Beaugency we Francji, pracując jako kierowca cięża-

uroczystość nadania imienia i wręczenia sztandaru zmyka kłamrą prawie trzydziestoletnie starania o właściwe miejsce, jakość i prestiż wiejskiej szkoły. Życzył nauczycielom satysfakcji z pracy i godnego wynagrodzenia.

Były pozdrowienia, gratulacje i książkowe prezenty od byłego rektora Szkoły Morskiej w Gdyni prof. Daniela Dudy, pani prof. Bernadetty Żynis z Akademii Pomorskiej w Słupsku, Jerzego Drzemczewskiego - obecnie wydawcy i dziennikarza, a wcześniej m.in. długoletniego rzecznika prasowego PLO - oraz ryngraf Związku Piłsudczyków RP od prezesa Zarządu Stanisława Władysława Śliwy - przekazane przez pana Jerzego Brodowskiego z Gdyni.



Fot. Archiwum SP w Objeździe

Fot. J. Maziejuk

gę zasługuje Józef Unrug. Urodził się 7 października 1884 roku w Brandenburg an der Havel jako Joseph Michael Hubert von Unruh, w arystokratycznej rodzinie generała majora gwardii pruskiej, nauki pobierał w Dreźnie. W czasie I wojny światowej służył najpierw jako oficer w Kaiserliche, był dowódcą łodzi podwodnych oraz flotylli podwodnej. Wraz z narodzinami niepodległej Polski w 1919 roku wstąpił do polskiej Marynarki Wojennej. Znakiem przemiany narodowościowej był prywatny zakup w 1920 roku pierwszego okrętu ORP „Pomorzanin”. Od 1925 do 1939 był dowódcą Floty, a w czasie kampanii wrześniowej dowodził Obroną Wybrzeża. Pod jego dowództwem bro-

rówki, wożący żywność z pobliskiego miasteczka. Zmarł w wieku 88 lat w Domu Spokojnej Starości Polskiego Funduszu Humanitarnego w Lailly-en-Val. Pochowany został 5 marca 1973 w kaplicy zamku Montrésor nad Loarą. W 2018 roku szczątki Józefa Unruga zostały ekshumowane i przeniesione do Polski. W tym też roku został mianowany pośmiertnie na stopień admirała floty. Został pochowany w Gdyni na Oksywiu.

Jego życie dowodzi, że ludzie morza są niezwykli w swoich wyborach i postawach: dumni, odważni, honorowi. - Nie bójcie się trudnych wyborów - zakończył wypowiedź prof. Skóra.

Pan Tomasz Wszółkowski, dawny wójt gminy Ustka, wyraził radość, że

Kiedy proboszcz parafii pod wezwaniem Matki Bożej Częstochowskiej w Objeździe poświęcił sztandar, nastąpiło symboliczne przybicie do drzewca i dyrektor szkoły dokonał jego prezentacji. Następnie zgodnie z ceremoniałem sztandar przejął poczet sztandarowy. Oficjalna uroczystość dobiegła końca.

Najmilszą chwilę przygotowały dzieci tańcami, śpiewem inscenizacją baśni o rybakach i Juracie. Było pięknie i wzruszająco.

Na koniec goście wpisywali się do książki pamiątkowej, dzielili wrażeniami przy kawie i ciasteczkach. I ja tam byłam, a co widziałam dokładnie opisałam.

Czesława Długoszek, Objazda



Ostatni dzwonek

Dbanie o środowisko naturalne jest naszym obowiązkiem. Zmiany jakie obserwujemy w ostatnich dziesięcioleciach nie napawają optymizmem. Szkoda, że różne organizacje ekologiczne działają lobbystycznie, stawiając sobie za cel zarobek i politykierstwo, zamiast faktyczną dbałość o środowisko.

Skutki środowiskowych zmian dokonujących się na przestrzeni ostatnich 40-50 lat, widzimy na przykład w zarastających jeziorach. Badania laboratoryjne wykazały, że zawartość azotu w wodach powierzchniowych na terenach użytkowanych rolniczo z zastosowaniem nawozów jest kilkadziesiąt razy większa niż na terenach odłogowanych. Trzeba było znaczących zmian w Bałtyku i to w efektach połowów, aby zacząć mówić o ekologii całościowo. Mocno zwrócono uwagę na wpływ działalności rolniczej na jakość środowiska. Nie tylko w Polsce bardzo długo rozmawia się o tym problemie. Będąc kilka lat temu w Szwecji, w ramach realizacji szwedzko-polskiego programu dotyczącego ochrony wód Bałtyku przed związkami azotu i fosforu, słyszałem jak proponowano ukierunkować działania ochronne na walkę ze skutkami zanieczyszczeń środowiska, a nie z przyczynami.

Budowa biogazowni rolniczych miała być jednym ze sposobów ochrony wód. Tymczasem instalacja biogazowa w tym przypadku to bu-

dowa dla samej budowy lub dla uzupełnienia innych celów, bo efekt ekologiczny będzie żaden. Zanieczyszczenie może zmniejszyć się zaledwie o kilka procent.

Od początku 2019 roku działania środowiskowe w rolnictwie regulować ma w praktyce Dyrektywa Azotowa. Wprowadza ona głównie obowiązek planowania nawożenia azotem i posiadania pełnej dokumentacji stosowania nawozów azotowych. A co z fosforem? Przecież fosfor ma wpływ na wykorzystanie azotu przez rośliny. Nie tylko zresztą fosfor. A co z zawartością próchnicy, która ma wiodące znaczenie w uprawie roślin? Długofalowy spadek jej zawartości w uprawianej glebie to dewastacja majątku narodowego!

Stosowane dziś technologie produkcji rolnej w dużej mierze niszczą glebę. Pogorszenie jakości środowiska niezbilansowaną działalnością rolniczą dowodzi również zły jakości żywności. W obecnej sytuacji, kiedy w produkcji rolniczej najważniejsza jest i liczy się ilość, podejmowane działania ochronne tylko odwracają

problem. Moim zdaniem najwyższy czas ustalić w każdym gospodarstwie dopuszczalne w pełni zbilansowane dawki nawożenia, zadbać o prawidłowy płodozmian i wielkość produkcji zwierzęcej.

Powrócić musimy do rolnictwa zrównoważonego i zintegrowanej produkcji. Znaczne jej uproszczenie, błędnie realizowane w poprzednich latach, mocno odczuli rolnicy zwłaszcza w roku ubiegłym, kiedy susza w pełni obnażyła nieprawidłowości z poprzednich lat. Uważam, że zrównoważony rozwój produkcji rolnej to temat do oddolnego działania dla samorządowców i organizacji rolniczych. Problem wymaga dużej pracy edukacyjnej i to na różnych poziomach. Zlikwidowanie Oddziału Pomorskiego Ośrodka Doradztwa Rolnictwa w Słupsku i pozbawienie rolników praktycznie w kilku powiatach stałego doradztwa specjalistów, w tym tych od produkcji roślinnej powoduje, że wyzwania te na naszym lokalnym terenie się potęgują.

Organizacja produkcji i zbytu produktów z gospodarstw rolnych praktycznie nie istnieje. Co jest tego przyczyną? Zaniechanie. Powstaje też pytanie, czy potencjał naszego rolnictwa jest prawidłowo wykorzystany i nie ma nadmiernego marnotrawstwa?

Sprowadzenie w praktyce pracy doradców w gminach do działalności komercyjnej i obecny stan ich zatrudnienia, świadczą o jej tymczasowości. A może z niewiadomych powodów chodzi o ucieczkę przed problemem? Tylko czy można przed nim uciec?

Adam Jabłoński, Przewłoka



Fot. M. Miller

Umiłowanie przyrody w całej naszej historii znajdowało zawsze swoich zwolenników. Nie brakło ich w przeszłości, jak i w czasach współczesnych. Śmiało można zaliczyć do nich nieżyjącego już dziś dr. Józefa Cieplika, pomysłodawcę powstania Parku Krajobrazowego „Dolina Słupi”.

Ten pochodzący z Wielkopolski, a dokładnie z Ostrzeszowa przyrodnik zawsze stawiał na edukację. Przy tym posiadał wiedzę ogromną. Gdy w połowie lat siedemdziesiątych byliśmy z panem Józefem na wycieczce w Białowieży mogliśmy się przekonać o tym, że wiedział on więcej o Parku niż nasz przewodnik. Dzisiaj gdyby mógł zobaczyć powstałe Centrum Edukacji Ekologicznej na pewno nie kryłby swego zadowolenia. Od 2004 roku Park został włączony do sieci Natura 2000 jako specjalny obszar ochrony ptaków. Spośród 153 gatunków aż 139 ma status objętych całkowitą ochroną. Królestwo ptaków Doliny Słupi stanowi niezwykłą atrakcję. Teraz, gdy wiosna w pełni, warto wybrać się do Parku i posłuchać ich trel.

Teren Parku to ostoja żurawia. Odwiedzając wiejskie tereny, pola, nieużytki zwłaszcza z rana możemy usłyszeć donośny krzyk lub trąbienie tych ptaków, zwane hejnałem, którym para lęgowa informuje, że teren jest zajęty. Dźwięki takie niosą się na kilka kilometrów i wraz z echem, często wśród porannej mgły robią wrażenie na słuchaczach. Podczas przemieszczania się i wieczornych zgromadzeń na noclegowisku, żurawie wydają głośny klangor.

- Zimują u nas również łabędzie niebieskie i krzykliwe - podkreśla kierownik oddziału Marcin Miller. - Na uwagę zasługuje także orzeł bielik. To największy gniazdujący u nas ptak drapieżny.

Innym niewielkim ciekawym ptakiem jest zimorodek. W Polsce zaliczany jest do ptaków dość rzadko spotykanych, chronionych i do gatunków ginących. Jest ptakiem wodnym, gniazdującym na ziemi. W urwistych brzegach rzek i jezior wygrzebuje poziomy korytarz długości dochodzącej do jednego metra, rozszerzony na końcu, w którym składa i wysiaduje sześć - osiem jaj oraz wychowuje pisklęta. Robi to najczęściej na przełomie kwietnia i maja. Mówi się o nim, że to „jedna z najpiękniejszych ozdób naszego ptasiego świata”. Poza barwanymi w wyglądzie zwraca uwagę jego duża głowa i mocny dziób potrzebny mu do łowienia ryb.

Zbiorniki wodne na rzece Słupi są stałym miejscem zimowania krzyżówek gąsiorów i nurogęsi. Prowadzi się też monitoring nietoperzy. Na dwadzieścia dwa gatunki żyjące w Polsce, w Parku żyje siedem, w tym mopek będący gatunkiem zagrożonym.

Ptaki w Dolinie Słupi mają też poważnych wrogów. Do nich należy agre-

sywny gatunek norki amerykańskiej. Na jednej z wysp jeziora Jasień potrafiła wybić co do jednego nurogęsi i gąsiorów.

Rzeka Słupia i jej dopływy są miejscem tarła łososia atlantyckiego, troci wędrownej i minoga rzecznej. W Słupsku na tej rzece są przepławki. Jednak zapory w Krzyni łososi już nie są w stanie pokonać. Park prowadzi projekt ochrony raka szlachetnego. Jest on, jak wiadomo, od dawna wskaźnikiem czystości wody. Niestety, w naszych wodach pojawił się gatunek inwazyjny



- rak pęgowaty z USA, roznoszący dżumę rzeczną. Na szczególną uwagę zasługuje też małża grubo skorupowa. Przebywa ona w osadach dennych w ten sposób, że tylny koniec muszli z syfonami wystaje ponad powierzchnię dna. Może dorosnąć do 11 cm i żyje do 80 lat. Gatunek ten jest na liście zwierząt ściśle chronionych i wpisany został do Czerwonej Księgi Zwierząt Ginących.

Nie brak też w Parku roślin inwazyjnych. Jedną z nich jest niecierpek gruczołowaty. Przyczynia się on do ograniczenia różnorodności biologicznej. Rozpowszechnił się głównie wzdłuż rzek. Owoc jego to zwisające, lancetowate i pękające torebki. Zwijają one gwałtownie klapki wystrzeliwując nasiona. Jedna roślina posiada ich nawet osiem tysięcy! Rzeka Słupia to również atrakcyjny szlak kajakowy z roku na rok przybywa na nim kajakarzy, co może przekroczyć chłonność tej rzeki. Głośny hałas przeszkadza wędkarzom, a także gniazdującym ptakom.

Warto by kierownicy grup kajakowych wskazywali na walory Doliny Słupi. Mogliby przecież przekazywać wiedzę przyrodniczą o Parku. Warto podkreślić, że w górę rzeki prowadzi 140-kilometrowa ścieżka rowerowa. Malowniczym miejscem jest potok lewobrzeżny Kamienna.

Warto poznawać tajemnice przyrody i to o każdej porze roku. Szczególny i bardzo wdzięczny obiekt do obserwacji to ptaki. Wiosenne spacerunki po Dolinie mogą stanowić ciekawy sposób na spędzanie wolnego czasu.

Kazimierz Jutrzenka, Słupsk



Fot. M. Miller

Nasze kotki, koteczki

Stosunek ludzi do zwierząt, a w szczególności do kotów nie jest jednoznaczny, deklarują się, że lubią zwierzęta, ale gdy przyjdzie co do czego, nie wywiązują się z obietnic.



Fot. Archiwum Autora

Sara, Nosek, Czarny Ogon, Siwy Ogon, Śnieżka, Zorro, Siwa, Brudny Hary, Ojciec, Behemot, Łapka, Czarny - to tylko niektóre z kocich imion, które bytują obecnie bądź bytowały w niedalekiej przeszłości w kompleksie ogrodów działkowych przy ulicy Jana III Sobieskiego w Słupsku. Dla nas, dokarmianie kotów zaczęło się pewnego lutowego dnia, tuż po odejściu naszego kota Miałczka i było to dziesięć lat temu, a wszystko za sprawą kotki Sary. Nie bała się ludzi, a może była na tyle zdesperowana, że było jej wszystko jedno. Choć oboje z żoną obstawialiśmy wersję, że została po świętach wyrzucona z domu. Okazało się po niewczasie, że powód był nader prozaiczny, Sara była kotna, czego nie zauważyliśmy na początku. Jedenaścioro jej potomstwa, które co do jednego wykarmiliśmy, i które przebywały na naszej działce ponad dwa miesiące, musieliśmy potem z żalem przekazać słupskiemu schronisku, gdyż nie akceptowanie tych zwierząt przez działkowych sąsiadów, nastroczało wiele kłopotów. Stosunek ludzi do zwierząt, a w szczególności do kotów nie jest jednoznaczny, deklarują się, że lubią zwierzęta, ale gdy przyjdzie co do czego, nie wywiązują się z obiet-

nic. Są też tacy, którzy podejmują się dokarmiania kotów okazjonalnie lub pod wpływem akcji, oglądania jakiegoś programu o zwierzętach w telewizji. Są również tacy, którzy dokarmiają je tylko latem, kiedy o pożywienie jest najłatwiej. Wszyscy ci miłośnicy zwierząt popełniają kardynalny i niewybaczalny błąd, ponieważ w ten sposób przyzwyczajone zwierzę nie potrafi później zrozumieć, dlaczego je odtrącono.

Trafiają się również tacy miłośnicy zwierząt, jak Waldek i Sylwia, którzy w swoim dużym mieszkaniu wydzielili kąt dla kociego pogotowia. Jestem pełen uznania dla takich działań i chciałoby się powiedzieć: więcej takich akcji.

W naszym przypadku kocie imiona nie wzięły się znikąd, zawsze odpowiadają wyglądowi lub cechom charakterystycznym. Jest również aspekt praktyczny, który pozwala szybko odróżnić koty. Nosek został noskiem ze względu na siwą plamkę na nosie i ciekawski charakter, Czarny i Siwy Ogon przez odpowiednie umaszczenie ogona i nie do odróżnienia wieczorem. Śnieżka nosi swoje imię ze względu na barwę sierści i dostoyny chód, i jest zapewne przekonana, że w przeszłości była księżniczką, bo przecież każ-

dy kot ma siedem żyć. Czyż nie? Zorro również zyskał swoje kocie imię z powodu czarnej maski na pyszczku i czarnej dużej plamy na grzbiecie, jakby nosił pelerynę. Kotka Siwa jest z nich najbiedniejsza, wychudzona ze śladami wydartej sierści na bokach. Ktoś ją wyrzucił z domu i zadomowiła się w kompleksie ogrodowym. Jako jedyna, bo inne koty, niestety marudzą. Ona bez zastrzeżeń zjada suchą karmę i po tym rozpoznajemy jej obecność w naszym karmniku. Każdego roku zastanawiamy się czy wiosną zobaczymy ją znowu. Brudny Hary jest kotem nieziemsko brudnym i na dodatek ma takie spojrzenie, jakby miał zaraz wyciągnąć spluwę i wszystkich nas wystrzelać. Ojciec to z kolei szarobury



stary kocur, kiedy siedzi na ławce i zawsze z godnością ogląda się wokoło, jakby pilnował wszystkie koty w tym kompleksie. Kiedy czuje zagrożenie, ostatni leniwie zwalnia miejsce człowiekowi i gdyby umiał mówić z pewnością rzuciłby na odchodne - dzisiaj wy, jutro my. Kot Behemot, czarny z zielonymi oczami, jak ułał pasował do opisu z powieści Michaiła Bułhakowa - „Mistrz i Małgorzata”. Łapka to jedyny kotek z wspomnianej jedenastki, który urodził się bez dolnej części nogi, lecz został zapamiętany z powodu swojej niezwyklej witalności. Czarny pojawił się dwa lata temu i od razu pakował się na kolana. Lubił się łączyć i zjadać co lepsze zawartości saszetek. Był również bardzo niefrasobliwy, potem zginął przebiegając przez ulicę w stronę osiedla.

Koty mają podzielone strefy, czyli rewiry, lecz nasz karmnik zdaje się temu zaprzeczać. Jest z pewnością miejscem eksterytorialnym. Co prawda, koty nigdy nie uczują wspólnie, chyba, że są z jednego miotu i zawsze przy tym zachowują hierarchię, to zdarza się, że na siebie powarczą. W takich przypadkach godzą je jeże, które za smakołyk obrały sobie kocią karmę.

W polskim prawie o ochronie zwierząt widnieje zapis, że wszystkie wolno żyjące koty w miejscach ich bytowania, są pod ochroną. Za miejsca bytowania uważa się: piwnice domów mieszkalnych, pustostany, okoliczności śmietników oraz takie miejsca, jak działki. Gwarantuje im to ustawa i polskie państwo. Nie wolno ich straszyć, zakładać na nie pułapek, nie wolno do nich strzelać z wiatrówek, nie wolno ich podtruwać i najważniejsze, nie wolno ich przeganiać z tych miejsc.

A przecież koty są nader pożytecznymi zwierzętami, tępią myszy i szczury, na działkach - nornice. Większe szkody w ekosystemie działkowym powoduje hodowla gołębi, które nie dość, że są potencjalnymi nosicielami zarazków ptasiej grypy, to jeszcze na wiosnę wyjadają posadzone nasiona. Jakoś nikt z tego powodu nie nawołuje do ich eksterminacji. Jestem za uczciwym współistnieniem różnych gatunków zwierząt w środowisku działkowym, włączając w to ptaki, psy czy jeże. Podobno bywa, że kompleks ogródków działkowych odwiedzają lisy, ale informacja ta wydaje się tak nieprawdopodobna, że zostawiam ją w sferze domysłów. Pełna symbioza jest potrzebna nie tylko zwierzętom, lecz również ludziom. Miejskie dżungle nie dostarczają zwierzętom już takiej swobody i naturalnego środowiska, jakie oferują właśnie kompleksy ogrodów działkowych umiejscowione w miastach. Bodajże ostatnie ostoję niezmałconej przyrody.

Psy i koty od zarania dziejów były przy człowieku, dzieliły jego troski, były wiernymi druhami w dalekich wędrówkach, broniły przed napaścią czy chroniły nasze zapasy. Teraz, kiedy człowiek zapanował nad planetą i wydaje się mu, że potrafi już wszystko, to przecież tylko kot lub pies przypomniał mu o jego ludzkich odruchach i wywołał uśmiech na twarzy.

**Czesław Kowalczyk
Słupsk**

Krzysztof Varga, kurator programu literackiego „Bitwa o Literaturę”, nadał jednemu cyklowi tytuł „Pisarze światowi, pisarze prowincjonalni” (rok 2015) opatrzonego komentarzem: „Jakie strategie przyjmują dziś pisarze, aby nie tylko zaistnieć, ale też utrzymać się na fali zainteresowania w realiach zacieklej konkurencji? Literatura stała się po prostu gałęzią przemysłu, czy też uchroniła swoją niezależność? Czy pisarz może sobie jeszcze pozwolić na to, aby stać z boku, być niewidocznym, w pewnym sensie nieistniejącym, jak chciał Flaubert, pisarzem za którego ma mówić wyłącznie dzieło? Czy też musi działać według strategii marketingowych i wciąż podgrzewać zainteresowanie nawet bardziej sobą niż swoim dziełem? I czy różni się czymś los pisarza z Olsztyna albo Lublina od losu pisarza z Warszawy czy Krakowa?”

Właściwie trzeba by zacząć od wyjaśnienia pojęcia prowincja, ponieważ, jak często dzieje się w języku, znaczenie słów się zmienia. Kiedyś, historycznie, prowincja oznaczała jednostkę administracyjną tworzoną na podbitych przez rzymian terenach. Do dziś pojęcie funkcjonuje w administracji kościelnej i oznacza obszar kilku diecezji podległych prowincjałowi lub też w niektórych państwach jest nazwą jednostki administracyjnej. Najczęściej jednak w języku potocznym używamy pojęcia prowincja nazywając tereny odległe od stolicy lub większych ośrodków albo lekceważąco mówimy tak o obszarach zapóźnionych cywilizacyjnie bądź kulturowo, i ich mieszkańcach. Brakuje tu jeszcze innych znaczeń. Prowincja to też rodzaj myślenia, postawy, niezależnie od miejsca zamieszkania. Na przeciwnym biegunie prowincja będzie obszarem poszukiwań kulturowych i aksjologicznych, jak działło się w literaturze, czego przykładów można szukać w twórczości od Kochanowskiego, Karpińskiego, Mickiewicza, Wyspiańskiego i wielu innych znamienitych twórców.

Kiedy przyjrzymy się biografom wielkich, uznanych i znanych pisarzy, naukowców dawnych i współczesnych okaże się, że oryginalność myślenia, talent, pracowitość nie mają nic wspólnego z miej-

Czym żyje prowincja?

„To dla mnie gratka przeczytać informację pastora z Rowów z 1717 roku czy fragment protokołu Paula Szcharnowske o szkole w Objeździe.” – O książce prof. Zygmunta Szultki: „Szkoly z polskim językiem nauczania w synodzie słupskim od reformacji do początku XIX wieku.”



pisze, że publikacje te odkrywały „najważniejsze i najwartościowsze tradycje polskiej literatury powojennej - literaturę małych ojczyzn”. Tak, zdaniem cytowanego autora, rodził się i funkcjonuje mit Kresów, „arkadia i piekło, mała ojczyzna i źródło wielkich nacjonalizmów.” Autor przypomina też rolę filmu „Sami swoi” Sylwestra Chęcińskiego, który oswajał traumę wysiedlenia ponad dwóch milionów ludzi niosących swoje kresowe, prowincjonalne historie. Jednocześnie jest to opowieść o zasiedlaniu ziem zachodnich, budowania ojczyzny nie tam, gdzie jej miejsce wyznaczała pokoleniowa pamięć, ale tam, gdzie odnajdowali się dawni sąsiedzi.

Powstawały enklawy „swoich”, „plemieńców”, „ziomków” „kumotrów”, dość hermetyczne i wrogie wobec zastanego dziedzictwa materialnego (zabudowania, maszyny, infrastruktura), dziedzictwa kulturowego, jak dawne pomniki, cmentarze; dziedzictwa językowego zamkniętego w nazwach miejscowości oraz dziedzictwa religijnego. Przybysze najczęściej byli katolikami na terenach, gdzie dominujący był „obcy” obrządek ewangelicki. Poza tym żywa była pamięć zbrodni i krzywd niemieckiego nazizmu.

Michał Głowiński w „Czarnych sezonach” opowiedział o osobistym widzeniu i odczuwaniu spowodowanym traumą wojennych przeżyć: „Tym, który budził strach i stał się wcieleniem zbrodni, był Niemiec, Niemiec w mundurze”. Oczywiście, to doświadczenie żydowskiego dziecka. Jednak w powszechnej świadomości niechęć, rodzaj poczucia dziejowej sprawiedliwości rodziły wrogość wobec zastanej rzeczywistości, szczególnie na tzw. „ziemiach odzyskanych”.

Na zachodzie Polski po 1945 roku społeczeństwo składało się z przy-

byszy z rozmaitych okolic przedwojennej Polski, mających za sobą odmienne doświadczenia. Celem polityki edukacyjnej i kulturalnej było zacieranie odmienności, szybka polonizacja ziem zachodnich, co prowadziło do przymusowej i skutecznej unifikacji społeczeństwa. Zwalczano symbole, zwłaszcza symbole mniejszości narodowych, jak kresowiaków i np. Ukraińców, przymusowo przesiedlonych w ramach akcji „Wisła”, których z założenia osiedlano w rozproszeniu. Tereny ziemi słupskiej są przykładem tych procesów. Tym bardziej niestosowne były symbole niemieckości, których pozbywano się konsekwentnie.

Zmiany onomastyczne były koniecznością administracyjną. Jednak nowa administracja przyzwalała również na zacieranie śladów „niemieckości”. Dewastowano cmentarze i pomniki, nikt specjalnie nie troszczył się o zastane dziedzictwo materialne. Leszek Wołousik w „Wysokich Obcasach” (26.01.2002) opublikował taką anegdotę z rozmowy z Lisawetą von Zitzewitz: „W latach 70. na Pomorzu zniszczono niemieckie cmentarze, ale zarówno odwiedzający Heimat - to słowo oznacza „małą ojczyznę” - Niemcy, jak i żyjący tu Polacy pamiętają, gdzie one były. Dziś ustawia się tablice z napisami po polsku i po niemiecku, zbiera resztki nagrobków. W czasach niemieckich były w Kulicach dwa cmentarze, z których przetrwało tylko kilka płyt. Zgromadziliśmy je przy kościele, ktoś jednak zabrał jedną z nich. Wkrótce dowiedziałam się, że jest u kamieniarza. Z administratorem i kucharką pojechaliśmy tam i bez kłopotów ją odzyskaliśmy. Do niedawna nie do pomyślenia - Niemka i dwoje Polaków odzyskują u Polaka niemiecki nagrobek. Tych dwoje Polaków i ja uważaliśmy po prostu, że ten kamień powinien wrócić tam, gdzie go położono.”

W Objeździe tuż po wojnie nie zniszczono wprawdzie unikatowego pomnika żołnierzy poległych w I woj-

scem zamieszkania. Owa przysłowio- wa prowincjonalność może okazać się atutem, wzbogaceniem warsztatu, poszerzeniem horyzontu rozległą przestrzenią tematów, skarbnicą wartości i odkrywanych historii.

„Być może, jest to okazja, żeby zauważyć, jak punkt, w którym urodziliśmy się, separuje nas od poglądów gdzie indziej przyjętych. Najbardziej nawet zamierzchłe tragedie mają wielką trwałość, bo żyją w przysłowiu, w pieśni ludowej, w podaniu przekazywanym z ust do ust i później stanowią gotowy materiał literatury.” - pisał Czesław Miłosz w „Rodzinnej Europie”, którą, zdaniem Marii Dąbrowskiej, można traktować jako odpowiednik Pana Tadeusza we współczesnej literaturze.

Dzisiejszy czytelnik odnajdzie zmitologizowane obrazy Kresów w powieściach Floriana Czarnyszewicza („Nadberezyńcy”), Czesława Miłosza („Dolina Issy”) i innych. Przemysław Czapliński w „Kresowych narracjach”

nie światowej w kształcie ławy wotywnej, ale zaprawą cementową zartarto napisy. Dopiero teraz, po przeszło 70. latach pomnik odrestaurowano i odsłonięto uniwersalne biblijne przesłanie: Niemand hat größere Liebe denn die dass er sein Leben für die Seinen lasse" (Nikt nie ma większej miłości jak ten, który swoje życie dla bliskich ofiaruje) i Den Gefallenen zur Ehre, der Nachwelt zur Lehre" (Poległym ku chwale, potomnym na przestroge). Niestety, po obu dawnych cmentarzach: przykościelnym i wiejskim pozostały tylko nieliczne ślady. Podobnie po innych wiejskich cmentarzach ewangelickich, które były w każdej wsi.

i etnicznie polskie." ([http://www.wbc.poznan.pl/Content/159446/8.%20Ziemie%20odzyskane%20w%20powojennej%20Polsce%20\(1944%201990\).pdf](http://www.wbc.poznan.pl/Content/159446/8.%20Ziemie%20odzyskane%20w%20powojennej%20Polsce%20(1944%201990).pdf), dostęp: 9.02.2019.)

Za punkt zwrotny w stosunkach polsko - niemieckich można uznać orędzie arcybiskupa Bolesława Kominka znane jako list biskupów polskich do biskupów niemieckich. Krok po kroku następowała normalizacja i pewność drugiego pokolenia, że jest u siebie, mimo odnajdywanych śladów obcej przeszłości.

- „Jeśli dzisiejsi mieszkańcy chcą z tą ziemią współistnieć, muszą znać jej dzieje - uważa Bogdan Twardochleb, dziennikarz ze Szczecina. - Do

niedawna odrzuciłszy dużą część historii. Były dzieje Pomorza czasów Mieszka I, Chrobrego i Krzywoustego. Potem, aż do roku 1945, „wielka dziura”, na dnie której pojawiała się czasem jakaś słowiańska postać, Każko Słupski przy Kazimierzu Wielkim, czy księżna Anna Jagiellonka jako żona księcia Bogusława X. Historia „dziurawa” jest historią skłamaną. Nie można mówić o przeszłości Pomorza Zachodniego bez Bismarcka, ten ród jest wpisany w dzieje Pomorza.”

Poznać, znaczyć, zrozumieć. I nie da się poznawać historii

pełnej dziur i niedomowień, widzianej z jednej perspektywy. Kilkadziesiąt lat po wojnie zaczyna się mówić o pochodzeniu rodzin, powstają wspomnienia ze stron ojczystych, chociaż odległość czasowa sprzyja ich mitologizowaniu. Powstają też rzetelne, polskojęzyczne, mimo że częściowe prace historyczne, dające obraz historii ziem zachodnich o skomplikowanej historii, w której splatają się wątki niemieckie, kaszubskie, polskie. Przez lata prowincjonalna Polska broniła się sama, zachowując przeniesione w rodzinach poczucie tożsamości, różnorodność kulturową, a jednocześnie budując poczucie wspólnoty w miejscach „obcych” powojennego przymusowego osiedlenia.

Przypominam zarys tej historii jako tło do kilku uwag do najnowszej publikacji „Szkoły z polskim językiem nauczania w synodzie słupskim od reformacji do początku XIX wieku” prof. Zygmunta Szultki (Słupsk 2018). Uważam tę publikację, podobnie jak wcześniejsze prace prof. Szultki, i innych podejmujących problematykę historyczną pomorskiej prowincji za niezwykle cenne. Te dawne dzieje tylko pozornie nie mają punktów stykowych ze współczesnością. Historia może być zapisana w dokumentach, ale niosą ją przemiany języka utrwalone w dawnych piosenkach i modlitwach, pamiątki kultury materialnej, domowe fotografie i opowieści. Pracowałam przez jakiś czas w Gardnie Wielkiej i Smołdzinie i wtedy właśnie odkryłam, że szosa ze Słupska do Smołdzina przez Gąbino jest rodzajem granicy między dwoma typami kultury: morza w kierunku Rowów i jeziora w kierunku Kluk. Moje spostrzeżenia potwierdziła podczas panelu zorganizowanego przez Kaszubski Uniwersytet Ludowy na temat „Budowanie tożsamości - co i jak się zmienia na Pomorzu?” Gabryela Włodarska z Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach, kiedy mówiła o konfliktach i trudnej asymilacji powojennej. Zmiany świadomości nie zachodzą szybko, a tożsamość budowana jest przez pokolenia. Po lekturze książki prof. Szultki zastanawiam się nad nazwą Muzeum Wsi Słowińskiej w Klukach, przyjętą w czasie powstawania muzeum w latach 60. ubiegłego wieku zgodnie ze stanem ówczesnych badań. Autor publikacji „Szkoły z polskim językiem...” podważa wcześniejsze ustalenia: „(...) w dotychczasowej literaturze, zwłaszcza w badaniach leksykografów, na których ustaleniach fatalnie zaciążyło bezkrytyczne podejście do przekazów Aleksandra Hilferdinga (lub raczej poglądów Floriana Ceynowy), które za rzetelne i w pełni naukowe uznane być nie mogą, chociaż stały się podstawą teorii tzw. Słowińców.” W przypisach prof. Szultka przywołuje nazwiska gdańskich językoznawców, w tym Jerzego Tredera, opowiadających się za teorią rosyjskiego sławisty i jego przewodnika „Kaszuby Floriana Ceynowy”. Profesor Szultka za bardziej wiarygodne uznaje wypowiedzi miejscowych pastorów, w tym Michała Pontanusa (Mostnika), który nie określał nazwy miejscowej ludności, natomiast jej je-

Sieć szkół z polskim/kaszubskim językiem nauczania w synodzie słupskim w latach 1700-1780

L.p.	Parafia	Liczba wsi	Liczba szkół			
			do 1700	1715	1755	1780
1.	Budowo	10	1	-	5	-
2.	Cecenowo	2	-	2	2	2
3.	Cetyń	10	-	2	4	1
4.	Damno	14	-	1	5	-
5.	Dobieszewo	11	-	-	4	-
6.	Gardna Wielka	21	-	3	5	4
7.	Główny	13	-	1	8	10
8.	Kołczygłowy	9	1	2	2	-
9.	Lupawa	10	1	2	5	-
10.	Mikorowo	14	-	2	4	1
11.	Nożyno	9	-	1	2	2
12.	Rowy	3	-	2	2	2
13.	Skórowo	9	1	2	3	-
14.	Słupsk	16	1	1	4	-
15.	Smołdzino	6	1	1	5	4
16.	Stowięcino	10	-	3	7	5
17.	Waldowo	8	-	2	-	-
18.	Wrzeście	5	-	-	1	-
Razem		180	6	27	68	31

Źródło: LA Greifswald, Rep. 7A. Bd. V; AP Szczecin, AKS, I/2643, s. 147-172; H. Heyden, *Neue Aufsätze...*, s. 187-202; B. Koglin, *Die Namen der Blankenseeschen Hufenklassifikation in Hinterpommern 1717/19*, Greifswald 2009; Źródła do kaszubsko-polskich aspektów, t. II, nr 152, s. 179-196.

Długo trwało wszechobecne poczucie tymczasowości, wobec niezależnych spraw politycznych, w tym sprawy granic. Polityka mieszała się z historią. Zamiast rzetelnych publikacji „o ziemiach ponemieckich” pisano, że są to prastare ziemie polskie, że zostały one w przeszłości podbite przez militarystów i imperialistów niemieckich oraz że wracają one do macierzy. Pisano o sprawiedliwości dziejowej. Niekiedy pisano też o tym, że ziemie te nadal były etnicznie polskie. Tymczasem Niemców mieszkało na nich 8, a Polaków 1,1 mln osób. W celu uwiarygodnienia angażowano naukowców: archeologów, językoznawców, historyków i etnologów, którzy dowodzili, iż są to ziemie historycznie

zyk nazywał „słowięskim”, „sławięskim” lub „wendisch”.

Książka „Szkoly z polskim językiem nauczania w synodzie śląskim od reformacji do początku XIX wieku” skłania mnie do zadania i innych pytań do stawianych przez prof. Szulkę, z zastrzeżeniem, że nie jestem historykiem, a moje uwagi przedkładam z punktu widzenia zwykłego czytelnika, najczęściej ignorantą.

Jak zawsze książkę zaczynam czytać od końca. W spisie treści najbardziej zainteresował mnie rozdział „Parafialna sieć szkół z polskim/kaszubskim językiem nauczania”, z opisem historii szkół dziewiętnastu parafii. Wróć tu za chwilę.

Tymczasem przeglądam bibliografię spisana na 23 stronach! Impo-
nująca! Policzyłam: 518 pozycji bez
źródeł rękopiśmiennych, w tym 163
publikacje polskojęzyczne, z tego 66
prac autora, Zygmunta Szulcki. Nie
mogę zostawić tej informacji bez ko-
mentarza. Publikacje polskojęzyczne
pojawiają się głównie od późnych la-
tach 60. ubiegłego wieku, najwięcej w
latach ostatnich. Czy ma to związek
z powstaniem w roku 1969 i rozwo-
jem w następnych latach w Słupsku
wyższej uczelni? Wyjątkową pozycję
stanowi dostępna w wersji zdigitali-
zowanej „Abrahama Szkulteta Pstil-
la Kościelna to jest Wykład Ewangelij
niedzielných...”

Jak to się stało, że przez wieki polscy badacze, poszukiwacze historycznych smaczków nie dostrzegali potrzeby podejmowania spraw Polaków/Kaszubów(?) na Pomorzu? Czy to tylko pomijanie prowincjonalnej problematyki, skoro w tym czasie powstają prace autorów niemieckich, a w innych, polskich dzielnicach, kwitnie literatura i piśmiennictwo historyczne w języku polskim. Myślę, że przyczyna jest inna. Powtórzę za szczecińskim dziennikarzem Bogdanem Twardochlebem: „Do niedawna odrzucaliśmy dużą część historii. Były dzieje Pomorza czasów Mieszka I, Chrobrego i Krzywoustego. Potem, aż do roku 1945, „wielka dziura”. Czy taka jest przyczyna?

Ścieranie się żywiołów polskiego i niemieckiego trwało od wieków, skoro arcybiskup Jakub Świnka (zwołał 6 stycznia 1285 roku w Łęczycy synod) podczas swoich rządów walczył o jedność polskiego kościoła i opór przed rosnącym w siłę żywiołem niemieckim.

Profesor Zygmunt Szlutka w rozdziale „Pierwsze kaszubskie/polskie szkoły na wsi” zauważa, że „rozwój szkolnictwa w dużym stopniu zależał od życia kościelnego”, co wydaje się oczywiste, a procesy powoływania szkół „po tym roku (1535) na skutek delegalizacji Kościoła katolickiego i proklamacji luteranizmu za re-

ski został formalnie zalegalizowany w Kościele na Pomorzu Zachodnim dopiero w 1735 roku, czyli dokładnie dwieście lat po proklamowaniu reformacji”.

Imponująca jest wiedza badacza, który na ponad 450 stronach przywołuje drobiazgowo przykłady z różnych miejscowości Pomorza, wspomina



Obszar zasiedlony przez Kaszubów w 1892 r.

ligię państwową uległy gwałtownemu przyspieszeniu”.

W książce „Szkoly z polskim językiem nauczania w synodzie słupskim od reformacji do początku XIX wieku” profesor Zygmunt Szultka pisze o „przemilczanym przez dotychczasowych badaczy 14-stronicowym memoriale czterech „sług kościelnych i kapelana”, z którego wynika, że rok 1590 kończy proces „formowania struktur organizacyjnych nowego Kościoła na mieszanym językowo kaszubsko-niemieckim obszarze językowym na wschód od Góry Chełmskiej” Mimo to „Język kaszub-

nazwiska pastorów, dekrety książęce itp. Szczegółowa kwerenda prowadzi autora do wniosku, że „w połowie XVII wieku zachodnia granica zasięgu kaszubszczyzny przesunęła się z linii Jamno - Unieść - Dębina - źródła Drawy na linię Objazda - około 10 km na wschód od linii Sławno - Tychowo - Żukowo - Osowo - Żydowo - Polanów - granica Polski. (str. 90)”

Przydałaby się mapa! Nie bardzo rozumiem jakie zmiany mogły zajść między Dębnią i Objazdą, dwiema wsiami odległymi o 3 km, tym bardziej, że obie wsie należały do jednej parafii z siedzibą w Rowach.

W innym miejscu w rozdziale II „Kryzys, jego przezwyciężenie i rozwój szkół na wsi od połowy XVII wieku do połowy XVIII wieku” autor pisze: „Piszący te słowa przed ćwierćwieczem doszedł do wniosku, że po wojnie trzydziestoletniej zachodnia granica zasięgu języka kaszubskiego przebiegała od Rowów przez Objazdę - Bruskowo Wielkie - Sycevice - Tychowo - Żukowo - Osowo - Przytoko - Żydowo - Drzewiany - do granicy z Polską.” (str. 121)

Znów prośba o mapy i wyjaśnienie: połowa XVII wieku to właśnie czas zakończenia wojny trzydziestoletniej (1618 - 1648). Jak zatem naprawdę było?

Słuszne natomiast tezy o nakładaniu się języków polskiego i kaszubskiego odnaleźć można również w pracach gdańskich językoznawców, m.in. prof. Huberta Górnowicza, a Hanna Makurat, badając „Wpływy składniowe gwar kaszubskich na lokalną mowę polszczyznę”, stwierdza: „Różnice między kaszubskim i polskim systemem syntaktycznym nie są duże, co wiąże się z przynależnością obu tych języków do zachodniosłowiańskiej grupy językowej, a także z ich bliskością terytorialną. Ze względu na brak odpowiednich zażytków językowych trudno jednoznacznie opisać, jaki był pierwotnie kształt kaszubskiej syntaksy, nie ulega jednak wątpliwości, że od wieków mieliśmy do czynienia ze znaczącym wpływem polskiego systemu syntaktycznego na składnię kaszubską, co wynikało z kontaktów ludności kaszubskiej z osobami polskojęzycznymi, a w późniejszym okresie - również z polskojęzycznej edukacji w szkołach oraz używania języka polskiego w Kościele.”

Prof. Szultka pisze o nie zawsze respektowanych dekretach nakazujących zatrudnianie w wiejskich szkołach/kościółkach duchownych znających język polski/kaszubski ze względu na zamieszkującą te tereny ludność, oraz wpływie jaki na „zachowanie tożsamości przez ludność kaszubską oraz trwanie języka polskiego w kościołach/szkołach elementarnych miał proces zrastania prawie całej od pokoleń związanej z ziemią słupską szlachty z pruskim korpusem oficerskim (...)”.

W wielu miejscach pracy profesor Szultka skarży się na brak źródeł i niski stan badań, który utrudnia

przedstawienie rozwoju szkolnictwa wiejskiego na Pomorzu pruskim w pierwszej połowie XVIII wieku (czas wojen północnej i siedmioletniej). Z tej przyczyny, jak myślę, stawiane tezy opatrzone są często zastrzeżeniami typu: „ustalenie (...) w praktyce jest niemożliwe”, „nie wiemy od kiedy”, „nie ma pewności”, przypuszczalnie, „nie jest sprawą jasną” i krytycznymi uwagami: „poglądy ostatnich badaczy są w większym stopniu życzeniową wizją niż krytyczna analiza źródeł”, „R. Gaziński (...) przyozdobił wianuszkami pozamerytorycznych życzeń”, itp.

Interesujący wątek stanowi rozróżnienie między Wendami i Kaszubami: „Tomasz Kantzow, który znał stosunki językowe Słupska i okolic z autopsji, około 1540 roku ludność słowiańską Pomorza Zachodniego dzielił na mieszkających w pasie nadmorskim „Wendów” i żyjących w głębi lądu „Kaszubów”. (...) owi „Wendowie to „Słowianie”, zaś ich język „słowiański” czy „sławiański” jest synonimem „wendyjskiego”, czyli słowiańskiego”. No dobrze, a co zrobić z późniejszą nazwą Słowiańcy, tematem, którym zajmował się m.in. Jerzy Treda? Czy mimo wszystko jej funkcjonowanie jest uprawnione?

Wnoszę, że praca profesora Szultki będzie zaczęciem poszukiwań, ożywienia badań i dyskusji o historii pomorskiej prowincji.

Mnie interesują szczególnie rozdziały „Parafialna sieć szkół z polskim/kaszubskim językiem nauczania” oraz „Źródła dotyczące szkół na wsi z polskim/kaszubskim językiem nauczania w synodzie słupskim”. Z wypiekami na twarzy czytałam barwnie napisaną historię rowskiej parafii, inkrustowaną anegdotkami i ciekawostkami. Mimo słabej znajomości języka niemieckiego ślęczę nad pisanymi po niemiecku dokumentami dotyczącymi Rowów i Objazdy. To dla mnie gratka przeczytać informację pastora z Rowów z 1717 roku czy fragment protokołu Paula Szcharnowskiego o szkole w Objeździe.

Cieszę się, że książkę mam na własność, bo nie jest to lektura na jeden raz. Z pewnością będę do niej sięgać przy różnych okazjach. Dzięki takim publikacjom życie na prowincji jest ekscytujące, podobne odkrywaniu nieznanych lądów.

**Czesława Długoszek
Objazda**

- Panie profesorze, co by było, gdyby Kaszubi nie chcieli należeć do Polski?

- Gdyby Kaszubi mówili w Wersalu: „Jesteśmy za Niemcami, z Polską nas nic nie łączy”, to Polska mogłaby nie mieć dostępu do morza. Tam brano pod uwagę kilka elementów, również historyczny (co było na korzyść Polski). Natomiast prezydent Wilson uważał, że najważniejszym warunkiem jest kryterium etniczne, wsłuchiwał się w to, co mówiła miejscowa ludność. Gdyby więc Kaszubi krzyczeli, że nie chcą należeć do Polski, najprawdopodobniej przeprowadzono by plebiscyt, który Polacy by przegrali. Tak więc dobrze, że Kaszubi czuli tę polskość.

- Czy Kaszubi naprawdę czuli się Polakami?

- Znalazłem w Archiwum Państwowym w Szczecinie dokumenty o liście Kaszubów bytowskich, którzy w roku 1919 albo 1920 podpisali petycję do Niemców. Byli obywatelami Niemiec, mieszkali w powiecie bytowskim, a napisali do władz niemieckich: „My, niżej podpisani jesteśmy Polakami. Nasi ojcowie również byli Polakami i żyli od niepamiętnych czasów w tym regionie, który należał do Polski. Chcemy należeć do Polski.” To było zdanie wymagające ogromnej odwagi, dlatego, że w ówczesnych Niemczech, Polacy byli obywatelami drugiej kategorii. Pogardzano nimi i traktowano jak wrogów. Ponad sto osób podpisało się na tej liście z imienia i nazwiska. To był dowód patriotyzmu, ale i akt odwagi.

- A Kaszubi z Kościerzyny?

- Kaszubi z Kościerzyny napisali w swoje deklaracji: „My Kaszubi miasta kaszubskiego Kościerzyny głosimy uroczyste całemu światu, że nasi pradziadowie, dziadowie i ojcowie, jak i my całemu sercem jesteśmy Polakami ze krwi i kości. Nasza ziemia kaszubska jest polską ziemią. Nasza mowa kaszubska jest POLSKĄ MOWĄ. Żaden historyk, żaden polityk niemiecki, żaden socjalista, nie wyrwie nam serca naszego KASZUBSKIEGO, POLSKIEGO.”

- Czy ich deklaracja miała istotny wkład w przyłączenie Pomorza do Polski?

- Oczywiście. Zresztą w latach 1919, 1920 wiele pomorskich

Gdyby Kaszubi nie chcieli do Polski...

Kaszubi rzeczywiście podlegali intensywnej germanizacji i są historycy, którzy twierdzą, że jeszcze dwa - trzy pokolenia w państwie niemieckim i Kaszubi podzieliby los Prusów, Jadźwingów czy Wieleatów.



Rozmowa z Wojciechem Skórą - profesorem nadzwyczajnym Akademii Pomorskiej w Słupsku, kierownikiem Zakładu Historii XX wieku, specjalistą w sprawach wywiadu wojskowego Drugiej Rzeczypospolitej oraz historii najnowszej Pomorza.

też rodzina Labudów, zwłaszcza Aleksander Labuda będący szefem regionalnego kaszubskiego zrzeszenia. Na pewno nie można także pominąć Jana Bauera, który ma swój „wątek słupski”.

- Faktycznie, w Słupsku jest ulica nazwana jego imieniem. Czym sobie na to zasłużył? Jaki wpływ na przynależność Pomorza do Polski miała działalność Jana Bauera?

- Bauer był obywatelem niemieckim, ale czuł się Polakiem. Działal jako społecznik i nauczyciel języka polskiego. Polska otrzymała Pomorze w wyniku decyzji, które zapadły w Paryżu w 1919 roku. Była tam delegacja, która przedstawiła oczekiwania strony polskiej, jednak sam Bauer nie brał udziału w tym procesie, dlatego, że był wtedy młodzieńcem. Zaczął być aktywnym politykiem dopiero później, gdy wziął udział w walce o oderwanie od Niemiec tzw. Kaszubskich Kresów Niewyzwolonych. Był to powiat bytowski, lęborski i częściowo słupski. Bauer został skierowany na te tereny przez władze polskie jako nauczyciel, by Kaszubów „odzyskać”. Zakładał polskie szkoły i za tę działalność zasiadł w lutym 1932 roku na ławie oskarżonych. Sądzony był w Słupsku, zmarł w obozie.

- Jak na działania Bauera reagowała władza?

- W Niemczech od 1928 roku można było zakładać prywatne mniejszościowe szkoły. Problem w tym, że Kaszubi nie byli mniejszością polską, więc nie powinni uczęszczać do polskich szkół. Niemcy bardzo szybko wychwycili ten paradoks i postanowili to zakończyć. Zostawiono tylko jedną placówkę, a trzy pozostałe zlikwidowano. Zakazano również nauczania na Kaszubach nauczycielom z obywatelstwem polskim.

- Dlaczego nazwał pan proces Bauera: „Najważniejszą rozprawą polityczną Polaków w Niemczech”?

- Zrobiłem to ze względu na reakcje prasowe obu stron. Nie było tak głośnego procesu, który byłby osadzony tak wysokimi urzędnikami. Proces Bauera o krzywoprzysięstwo stał się polityczny. Na ławie oskarżonych siedział nie tyle on, co cała społeczność kaszubska powiatu bytowskiego. Świadców było ponad sześćdziesięciu, przesłuchiowano ich w sposób bardzo wnikliwy i agresywny. Na ławie oskarżonych nie zasiadł działacz polskiego szkolnictwa, ale cała koncepcja rozwoju oświaty.

- Po procesie Bauera rozwój szkolnictwa został powstrzymany, a większość szkół zlikwidowano. Czy więc jego ofiara poszła na marne?

- Nie. Do dziś jest to temat aktualny, a jego postać rośnie do rangi symbolu zabiegów o polskość Pomorza i walki z Niemcami. Każda tożsamość narodowa opiera się na przykładach. Porywają za sobą, budują poglądy. Jeżeli ktoś uznawał polskość za tak ważną, że był gotów poświęcić dla niej życie, to znaczy, że jest w niej pewna wartość. Historia jest jedną z tych nauk, które mają podtrzymywać polską tożsamość narodową, oczywiście w rozsądnym, wyważonym sensie. Nie ma pchać nas do fanatyzmu, ale pokazać wagę. I taką wagą dla Kaszubów była Polska.

**Rozmawiała:
Aleksandra Czapiewska
Kobylnica**

Praca uzyskała I nagrodę w kategorii uczniów starszych w Ogólnopolskim Konkursie Dziennikarskim o Laur „Słupskich Kotwic”.

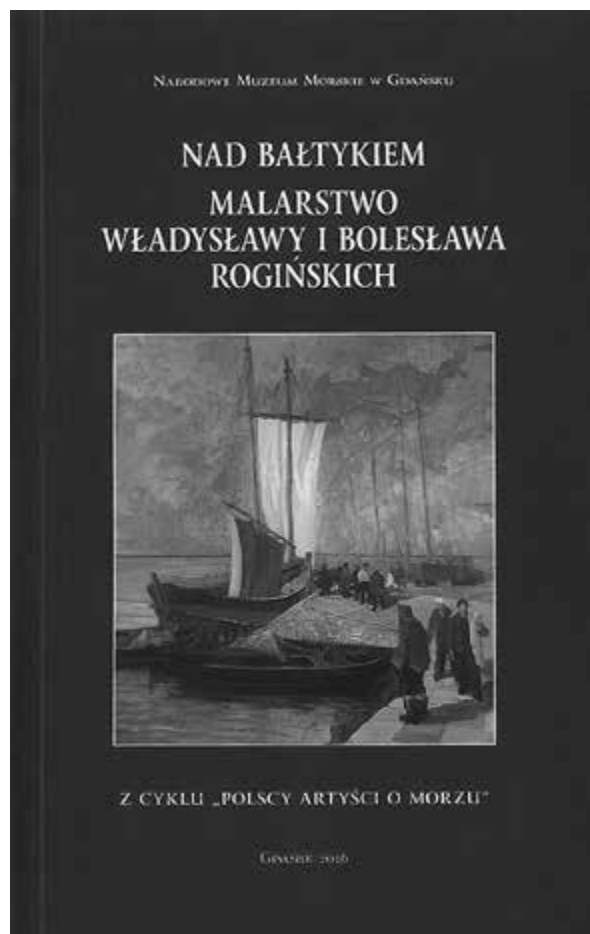
miejsowości wydawało takie deklaracje. To był czas, kiedy na konferencji pokojowej w Paryżu ważyły się losy przynależności tych ziem. Kaszubi, ciągnąc w polską stronę, zbierali się na wiecach i tego typu deklaracje składali. Tylko że czym innym jest zebrać się na wiecu, a czym innym podpisać się, będąc obywatelem niemieckim, na takiej liście z imienia i nazwiska. Bo na tej podstawie można było człowieka odnaleźć i w 1939 roku wysiedlić za karę za taką postawę. To były działania, które musiały mieć skutki, ale doprowadziły polskości Kaszub.

- Kogo w takim razie możemy spotkać na pomorskich drogach do niepodległości? Kogo pominąć nie można?

- Możemy spotkać Antoniego Abrahama, który był w składzie delegacji, która pojechała do Wersalu w sprawie Pomorza. Opowiadał się za odrodzeniem narodowym Kaszubów i ich związkiem z polsnością. Kaszubi rzeczywiście podlegali intensywnej germanizacji i są historycy, którzy twierdzą, że jeszcze dwa - trzy pokolenia w państwie niemieckim i Kaszubi podzieliby los Prusów, Jadźwingów czy Wieleatów. Istotną rolę odegrała

Latarnia Rozewie na linorycie Bolesława Rogińskiego

Bolesław Rogiński. Nie znałam, nie wiedziałam. Na corocznej aukcji towarzyszącej koncertowi w Operze Leśnej w Sopocie zorganizowanej przez Ewę, założycielkę i prezesa Fundacji Dom Rain Mana kupiłam jego pracę „Rozewie” sygnowaną EA B. Rogiński 77.



Opinie nie są jednoznaczne. Dla A. to bardzo ponury obraz, K. wymigał się oceną „ciekawý”; Kazik, znawca malarstwa artystów Wybrzeża twierdzi, że to bardzo dobra praca, linoryt, egzemplarz autorski. Od Grzegorza Rogińskiego, wnuka Bolesława, uzyskałam informację, że „Rozewie” należy do cyklu czterech prac: „Rozewie”, „Domek nad Motławą” (dzisiejsza winiarnia), „Katownia”, „Ratusz Starego Miasta Gdańska”. Grafiki te łączą technikę cynkografii (warstwa rysunku) i linoryt barwny (warstwa koloru).

Realistyczny obraz na pierwszym planie przedstawia gąszcz ciemnych nagich pni, konarów i coraz gęstszą płataninę gałęzi pnących się ku gó-

rze. Na drugim planie w centrum obrazu znajduje się cynobrowa bryła latarni, pocięta jaśniejszymi fugami cegieł i kamieni, zwężająca się ku górze. Od tła bryłę latarni oddziela jasna poświata, ciemniejąca ku ramie obrazu. Tyle, gdybym miała opowiedzieć, co jest na obrazie.

Ja „czytam” tę pracę jak poezję, uznając każdą wypowiedź artystyczną za osobisty przekaz autora. Malarstwo i sztuki pokrewne, podobnie jak muzyka, wyraża się własnym językiem, uniwersalnym, powszechnie zrozumiałym, odwołującym się bezpośrednio do wrażliwości odbiorcy. Czytam obraz jak metaforę drogi, którą każdy z nas, samotny żeglarz, musi przebyć. Przedzieramy się przez gąszcz, pajęczą sieć spraw, emocji zasłaniających cel podróży. Gdzieś jest latarnia, od nas zależy, czy dostrzeżemy jej światło. Ważne, by zawsze było, wskazywało to, co jasne i ważne.

Nie wiem, czy taki był zamysł Bolesława Rogińskiego, który sam przeżył długą zagmatwaną historię drogi. Urodził się w 1907 roku w Wiaziuniu pod Wilnem (obecnie Białoruś). Studiował na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie w pracowni Ludomira Sienkiewicza. W 1935 roku ożenił się z Władysławą Żukowską, absolwentką Seminarium Nauczycielskiego w Wilnie. Po wojnie Władysław i Bolesław Rogińscy zamieszkali w Gdańsku, oboje studiowali na Wydziale Sztuk Pięknych Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, później razem pracowali. Władysław upodobała sobie malarstwo pejzażowe, w tym krajobrazy nadmorskie, portrety, sceny z życia rybaków, porty rybackie, kutry, barkasy oraz grafikę warsztatową posługując się techniką drzeworytu, linorytu, akwaforty z akwatintą.

Bolesław Rogiński w latach 1945 - 1946 dokumentował rysunka-

mi zniszczony Gdańsk. Malował załogi Gdańska i okolic, pejzaże nadmorskie, łodzie rybackie i rybaków, portrety robotników. Jego ulubioną techniką były akwaforta i linoryt. Malarz i grafik był organizatorem i komisarzem polsko-fińskich konkursów grafiki marynistycznej. Brał udział w licznych wystawach w Polsce i za granicą. Jego prace znajdują się w zbiorach Muzeum Narodowego w Gdańsku, Muzeum Historii Miasta Gdańska, Muzeum Narodowego w Szczecinie, dwie prace w zbiorach Muzeum Pomorza Środkowego w Słupsku i Muzeum Sztuki w Turku (Finlandia).

„Pierwsi artyści przybyli do Gdańska z Wilna i Lwowa już w maju 1945 roku, była wśród nich również grupa grafików z tradycyjnym wykształceniem i solidnym warsztatem graficznym. Z ośrodka wileńskiego pochodzili absolwenci Wydziału Sztuk Pięknych Uniwersytetu imienia Stefana Batorego: Władysław i Bolesław Rogińscy, Stanisław Rolicz, Stanisław i Olga Żukowscy, Zbigniew Kaliszczak, Wincenty Lewandowski. Lwów reprezentowali Władysław Lam - przed wojną pracownik Politechniki Lwowskiej - oraz Beata Słuszkiewicz. (...) Grupa grafików, niemająca wpływu na rozwój grafiki w PWSSP, oddziaływała jednak przynajmniej w części na środowisko artystyczne Wybrzeża, nawet to związane ze Szkołą, poprzez sam fakt czynnego udziału we wszystkich imprezach.” - pisze Magdalena Olszewska w książce „Gdańskiej grafiki ścieżki niespokojne...”

Justyna i Łukasz Rogińscy oraz Małgorzata Niemczyk, dzieci artystów, również artyści, przyczyniają się do popularyzacji prac rodziców. Łukasz Rogiński odrestaurował ponad 100 olejnych płócien Władysława i Bolesława Rogińskich. Są wśród nich portrety, liczne nadmorskie pejzaże i

obrazy zniszczonego działaniami wojennymi Gdańska.

Nie wiem, kto podarował pracę Bolesława Rogińskiego na rzecz Fundacji Dom Rain Mana. Prezes Fundacji, Ewa Szmytkowska, na pytanie o ofiarodawcę, napisała do mnie: „obraz dotarł do Fundacji razem z innymi darami z Hamburga. Środowisko skupione wokół Polskiej Misji Katolickiej w tym mieście od jakiegoś czasu wspiera nasze działania”, obiecując szczegółową odpowiedź o ofiarodawcę. To może być sposób na prześledzenie drogi linorytu z Gdańska i do Gdańska.

I jeszcze kilka zdań o latarni na Rozewiu. Tak naprawdę na przylądku Rozewie w pobliżu Jastrzębiej Góry znajdują się dwie latarnie: „Stara” i „Nowa”. Pierwsza, szesnastometrowa, działała w latach 1875 - 1910. W 1821 roku zapalono „Nową” dwudziestoseściometrową latarnię, którą w kolejnych latach podwyższono do wysokości ponad trzydziestu dwu metrów oraz zmodernizowano. W 1972 roku latarnię Rozewie wpisano do rejestru zabytków.

Z latarnią związana jest legenda, budowana przez latarnika Leona Wzorka o tym, że Stefan Żeromski pisał tu powieść „Wiatr od morza”. Stefan Żeromski faktycznie zwiedził rozewską latarnię, ale powieść powstała w Warszawie.

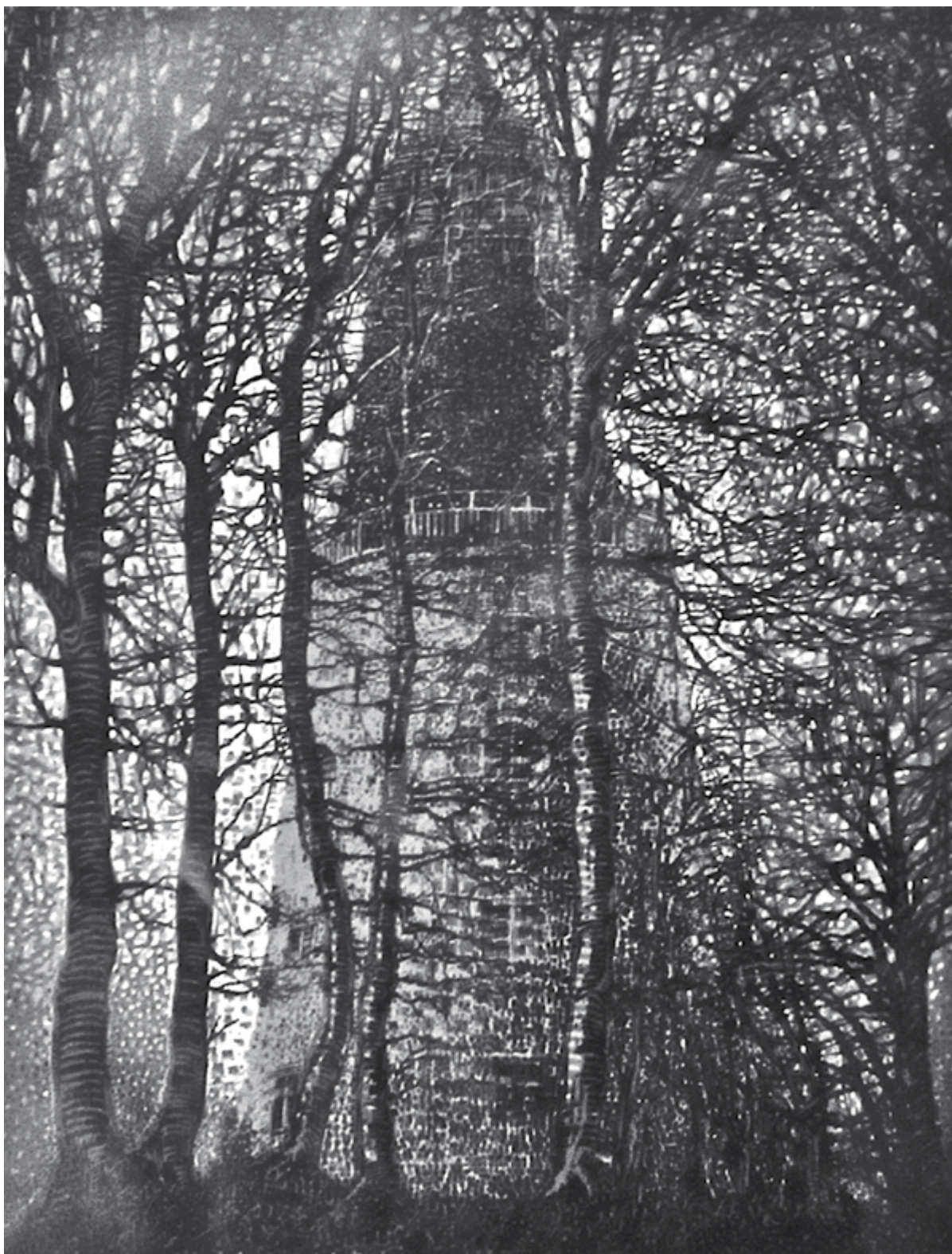
Praca Bolesława Rogińskiego „Rozewie” nie jest prostym pejzażem, realistycznym dokumentem. Wybór i sposób widzenia obiektu, technika linorytu, kompozycja i kolorystyka są elementami ar-

tystycznego widzenia, to pewne, ale świadczy również o związku artysty z Wybrzeżem.

Czesława Długoszek , Objazda

PS. W Rozewiu istnieją dwie latarnie: stara i nowa. Nazwy: stara i nowa nie są jednoznaczne i są błędnie używane zamiennie dla obu rozewskich latarni. Przyczyniła się do tego skomplikowana historia budowy i modernizacji obu obiektów, oraz okres, w którym latarnie świeciły równocześnie - w latach 1875 - 1910. („Stara latarnia” - to czyn-

na do dziś latarnia z 1822 roku, poddana dwóm istotnym modernizacjom w: 1910 roku i w 1978 roku - nazywana potocznie „nową” z powodu funkcjonowania. Latarnikiem „starej” latarni od 1920 roku był Leon Wzorek, aresztowany 11 września 1939 roku i rozstrzelany przez Niemców. Obowiązki latarnika przejął wówczas brat Leona - Władysław Wzorek, który pełnił tę funkcję do śmierci we wrześniu 1977 roku. Obok latarni stoi pomnik Stefana Żeromskiego, który ją odwiedził. (Cz.D.)



Fot. Archiwum Autora

Zaklina w fotografiach tajemnice natury

Mieszka na skraju lasu w małej chatce w podstupskiej wsi. Wybrała to miejsce szczególne, aby wychodząc ze swojej szklanej kuli, być blisko leśnej głuszy, gdzie rządzą inne prawa. Tu jest natura, tu na wietrze szumią drzewa, a promienie słońca, czasem krople deszczu lub płatki śniegu, wyznaczają mijający czas.

Pory roku - samoczynnie regulujący się zegar biologiczny, stanowi wyzwanie dla zwierząt tutaj zamieszkujących. Bo las to różnorodne biotopy: łąki śródleśne, knieje, ostępy, matorniki - przestrzeń życiowa dzikich zwierząt. Można za pomocą magicznej pałeczki zaklinać - utrwalac to piękno, a odpowiednikiem zaczarowanej różki jest aparat fotograficzny. Katarzyna Lewańska-Tukaj podpatruje, obserwuje leśną zwierzynę i uwiecznia w ruchu, a potem opisuje jej biologiczne cechy i życie. Ujęła mnie swoją osobowością i wykonywaną fotografią. Artystka ta odkrywa i udostępnia nam nie tylko tajemnice mieszkańców lasu, ale utrwała również cechy pomorskiego pejzażu, dokonuje wielkiej sztuki w fotografii portretowej i reportażowej, szczególnie fotografując urokliwe dzieci i wydarzenia ze swojego życia.

Jest rodowitą słupczanką, ale jej dzieciństwo było związane z Ustką i okolicznymi lasami. Ojciec - oficer był aktywnym myśliwym, w sposób zdecydowany wywarł wpływ na zamiłowania i zainteresowania córki. Mała Katarzyna wędrowała po kniejach i obwodach łowieckich, miała od najmłodszych lat kontakt z lasem i dar podpatrywania przyrody. Ukończyła LO im.



A. Mickiewicza, studiowała pedagogikę w Wyższej Szkole Pedagogicznej. Krótko pracowała w jednej z podstawówek w Ustce, potem w Domu Kultury i jako radiooperator w Urzędzie Morskim, też w Ustce. Pracowała w słupskim Radio City, współpracowała z Polskim Radiem Koszalin, gdzie tworzyła krótkie felietony o tematyce przyrodniczej.

- W moim domu zawsze było dużo albumów, rozmawiało się o sztuce, chodziło się na wystawy. Tata przynosił od czasu do czasu jakieś zrujnowane starocie, przywra-

cał im dawną świetność. Podziwiałam go za to, miał cierpliwość. Jako brzdąc uczęszczałam na zajęcia do kółka plastycznego, pamiętam spotkania z Aldoną Żak, której prace do dziś wiszą u mnie w domu. Gdzieś między podstawówką, a szkołą średnią, uczyłam się grać na pianinie, gitarze, trochę śpiewałam, a poezję recytowałam - wspomina początki pani Katarzyna. - Niedawno znalazłam swój pamiętnik. Czego tam nie ma! Jakies prymitywne szkice, infantylne wiersze. Co ciekawe, nie kochałam się nigdy w

żadnych aktorach filmowych. W moim pokoju na ścianie wisiały plakaty żaglowców, zdjęcia zwierząt. Taka ze mnie była dziwna nastolatka.

Pierwszy aparat fotograficzny - „Ami 66” dostała, kiedy miała osiem lat. Najczęściej fotografowała swoją siostrę, koleżanki na podwórku, własne psy, ciekawostki przyrodnicze. Każde kieszonkowe przeznaczala na zakup filmów i wywoływanie zdjęć. Była niecierpliwa czekając na odbitki. Potem był już kultowy „Zenit” z obiektywem Heliosa. Fotografowała „na wyczucie” i choć próbowała czytać książki fachowe, to niewiele z nich rozumiała. Przysłona, ekspozycja, ustawianie - były to dla niej abstrakcyjne pojęcia. W kolejnych latach zainteresowała się żeglarsstwem, wędrówkami po górach i trochę odstąpiła od fotografii. Pokonywała szlaki górskie z aparatem, ale było to tylko takie „wędrowanie dla wędrowania”, a nie fotografowania. Do zaawansowanej fotografii wróciła w czasie pracy w Domu Kultury w Ustce. Trochę służbowo, a trochę z zamiłowania dokumentowała imprezy. Wtedy do aparatu fotograficznego dołączyła kamera filmowa, ale na krótko. W tym czasie, oprócz służbowego, profesjonalnego sprzętu w domu miała również aparat typu „małpka”, którym w ogóle nie umiała się posługiwać. Potem przyszedł boom na fotografię cyfrową i rozpoczęła współpracę z jednym z wydawnictw. Sytuacja ta wymuszała, aby przekazywane materiały były jak najlepszej jakości. Uzupełniała je zdjęciami wykonywanymi tzw. „mydelniczką” marki „Sony”.

Z czasem fotografia analogowa odeszła w kąt, weszła cyfrowa i młoda artystka nie umiała się w niej znaleźć. Sprowadziła z USA dobrej klasy aparat analogowy „Canon rabel”, kupiła filmy i znowu poczuła, że może fotografować. Gdy przyszła moda na lustrzanki cyfrowe nie miała już problemu z opanowaniem takiego aparatu. Pracuje z nim do dziś. Bywa czasem, że wyciągnie z szuflady starego „analog”, założy film i cieszy się, że ma do wykorzystania tylko 36 klatek. Choć dziś posługuje się aparatami najwyż-

szego standardu, cały czas podkreśla, że jest amatorką.

- Kiedy rozpoczęłam współpracę z jednym z wydawnictw przyrodniczo-leśnych, jego szef Mirosław Sobkowiak, również fotograf dziwił się, że nie wiem, co to jest ekspozycja, a mimo to zdjęcia mi wychodzą! Dużo mu zawdzięczam w mojej fotograficznej edukacji, ale też panu Maćkowi Tupajce, słupskiemu fotografowi i obsadzie jego zakładu, gdzie zawsze znajdowałam pomoc - wspomina pani Katarzyna. - W późniejszych latach,

najważniejsza była i jest dla mnie rodzina i to, co i jak robię. Mam dwóch dorosłych synów - Huberta i Adama, obaj fotografują amatorsko. Młodszy, Hubert jest fanem aparatów analogowych i chyba nigdy nie fotografował lustrzanką cyfrową. Starszy, i owszem. Nie jest to ich sposób na życie, ale działają w tej dziedzinie. Młodszy często pomagał mi w różnych projektach, szczególnie podczas sesji kulinarnych. Bywało, że pozował do zdjęć próbnych w studio i cierpliwie czekał, aż ustawię światło.



Fot. K. Lewańska-Tukaj

kiedy zainteresowałam się fotografią sesyjną, duży wpływ miała na mnie i ma nadal Anna Kondraciuk. Bardzo cenię sobie również przyjaźnie fotograficzne z Agatą Skorna-Kotkowską, Ewą Ignatowicz - innymi słupskimi fotografkami. Mimo że dużo fotografuję, nie uważałam się za artystkę. Zawsze mówiłam, że tylko robię zdjęcia. Nie uczyłam się fotografii, nigdy nie wpadłam na to, żeby zapisać się do jakiegoś koła, czy grupy. Pierwsze i, jak do tej pory, jedyne warsztaty fotograficzne odbyłam dwa lata temu u Eleny Szumiłowej. Myślę, że ta ostatnia wymieniona osoba miała dosyć duży wpływ na moją edukację. Dziś może jestem zawodową fotografką, ale bliżej mi do amatorstwa. Artysta fotografik to ktoś taki, kto ma wystawy, udziela wywiadów. A ja muszę się przyznać, że jest to moja pierwsza publiczna rozmowa z dziennikarzem. Nie należę do żadnego związku, jestem amatorką, indywidualistką. Kiedyś należałam do ZHP i Polskiego Związku Żeglarskiego, ale zawsze

- Zofia Chomętowska pierwsza zajmowała się fotografią łowiecką. Była jej pionierką. Mimo że urodziła się na początku XX wieku, to jednak „Leica”, która wtedy była szczytem techniki, uwieczniała wiele scen z polowań i życia myśliwych na Podlasiu. Ja też realizuję bezkrwawe łowy z aparatem. Fotografuję zwierzęta leśne, sceny myśliwskie, robię fotoreportaże z polowań - tak samo jak wspomniana Zofia Chomętowska. Zdobyłam sobie zaufanie myśliwych i po jakimś czasie zaczęłam otrzymywać prywatne zlecenia na fotografowanie myśliwskich ślubów, chrzcin. Z początku się wzbraniałam, ale zachęcana, w końcu podjęłam się wykonywania takich zdjęć. Zaczęłam fotografować noworodki, dzieci w różnych okolicznościach. Było to dla mnie nowe wyzwanie. W fotografowaniu rodzinnych uroczystości, portretów wielce pomocna okazała się mi wymieniona już Ania Kondraciuk. I tak prze-

szłam od łowiectwa do fotografii rodzinnej.

- Pyta pan, jak powstają moje fotografie, jaki mam warsztat? Wszystko zależy od tego, co mam fotografować. Jeśli zapowiada się sesja dziecięca i czekam na małego gościa, to staram się jak najwięcej o nim dowiedzieć. - Przygotowuję scenografię, jakiś przysmak, coś do picia, pytam, czy lubi zwierzęta. Wychodzę z założenia, że cała sesja ma być zabawą, przygodą, dziecko musi poczuć się swobodnie i dobrze - wtedy mogę fotografować. Kiedyś jeden z moich małych gości cały czas chciał być na moich rękach. Chodziliśmy po pracowni, pokazywałam mu różne rzeczy, w

pies. Konno jechała 16-letnia wtedy Katarzyna Witczak - dziś trener i instruktor jeździectwa, ptaki łowcze przywieźli moi koledzy - sokolnicy. Przywieźli też psa. Dalej musiałam sobie radzić sama. Dopiero po latach dowiedziałam się, że do takich sesji potrzebny jest sztab ludzi! Specjaliści od koni, wizażyści, styliści i inni.

* * *

Moja rozmówczyni, jako ulubionych artystów fotografików, wymienienia od razu wspomnianą Zofię Chomętowską. Ceni Edwarda Hartwiga. Wielkim szacunkiem darzy i wypowiada się dobrze o całej rodzinie malarzy Kossaków, od Juliusza

plomów mam mnóstwo od dzieci, ze spotkań, za zajęcia o przyrodzie. Często są ręcznie zrobione przez uczniów, albo z niewielką pomocą pani. Cudowne pamiątki, które lubię przeglądać. W ogóle lubię spotkania z dziećmi. Często jestem zapraszana na lekcje. Wystawę miałam tylko jedną - w Biurze Wystaw Artystycznych w Bydgoszczy, wspólnie z Marcinem Nawrockim, kolegą fotografem. Była zatytułowana „Polując aparatem” i została zorganizowana przy współpracy Zarządu Oddziału Polskiego Związku Łowieckiego w Bydgoszczy. Kilka moich prac było prezentowanych na wystawach ogólnych, m.in. w Komornikach, Sławnie, ministerstwie gospodarki.

- Jakie mam najbliższe plany artystyczne? Jeśli chodzi o fotografię, to nigdy niczego nie planuję. A jeśli chodzi o publikacje, to od lat współtworzę kalendarz „Rok Myśliwego”. Właśnie ukazała się kolejna jego edycja, na 2019 rok. Na plenery nie jeżdżę, jestem na nich cały czas, bo mieszkam na odludziu i wystarczy, że wystawię nogę za próg i mogę już robić zdjęcia. Nigdzie się nie wybieram, ale chętnie goszczę u siebie ludzi, którzy chcą porozmawiać o fotografii, o przyrodzie. Przyjeżdżają ci, których ciągnie do fotografii. Wspieram ich, dodaję otuchy, podpowiadam, co i jak. Sporo podróżuję i spotykają mnie różne przygody. Właściwie przyciągam je jak piorunochron. Co nie zdarzyło się komuś, zdarzyć musi się właśnie mnie. Ale lubię te niespodzianki. Całe moje dotychczasowe życie jest jedną wielką niespodzianką, i nie do końca jeszcze odkrytą tajemnicą.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk

Katarzyna Lewańska-Tukaj dotychczas współpracowała z tytułami: *Zachodni Poradnik Łowiecki, Psy Myśliwskie, Magazyn Sezon, Dzikie Życie, Brać Łowiecka, Łowiec Polski, Las Polski, Drwal. Od lat prowadzi kwartalnik dla myśliwych i sympatyków łowiectwa na Pomorzu - Echo Pomorskiej Kniei. Bardzo ceni sobie również współpracę z kwartalnikami Głos Przyrody. Współpracowała z pismami o tematyce budowlanej, motoryzacyjnej, historycznej i turystycznej. Jest autorką tekstów do albumów, kalendarzy, a także całych albumów i zeszytów edukacyjnych. (W. L.)*



Fot. K. Lewańska-Tukaj

końcu zaczęłam tłumaczyć brzdącowi, że jak będzie u mnie na rękach, to kto będzie fotografować? A malec odpowiada mi: - Tata! Uśmialiśmy się serdecznie. Mam czas na śmiech, na zabawę z dzieckiem. Nie spieszę się, piję z moimi gośćmi herbatę. Czekam aż dziecko oswoi się z sytuacją i pokaże to, co będzie chciało. Nie jest tak, że biorę, co mi się marzy, co sobie zaplanowałam. Nie. Biorę to, co dostanę od dziecka.

- Moje pierwsze zdjęcie, które znalazło się na okładce miesięcznika „Brać Łowiecka” było tylko w dziesięciu procentach zaplanowane. Pozostałe dziewięćdziesiąt procent zweryfikowała rzeczywistość. Kiedyś wymarzyłam sobie, że sfotografuję dziewczynę na koniu, z ptakiem łowczym, a obok będzie

poprzez Wojciecha do Jerzego. Podziwia prof. Simonę Kossak, jako naukowca i znawcę przyrody z Białowieskiego Parku Narodowego.

- Mogę kogoś lubić, ale staram się nikogo nie naśladować - zastrzeża się pani Katarzyna. - Dużo czytam i nie zawsze są to wielkie dzieła literackie, często dotyczą wspomnień ludzi lasu i myśliwych. Z przyjemnością pochylam się nad opowiadaniem, jakie przynoszą mi dzieci. Są wzruszające. Uwielbiam poezję Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej, Poświatowskiej, Barańczaka, prozę Magdaleny Samozwaniec, Balzaka, Artura Conan Doyle’a, Agaty Christie.

Zapytana o dyplomy, nagrody i wyróżnienia w konkursach, odpowiedziała: - Jakie wyróżnienia? Nie biorę udziału w konkursach. Dy-

Świątynia ma ciekawą historię, związaną z jej powstaniem i budową, datowaną na 1747 rok. Powstała w wyjątkowych okolicznościach, kiedy w Niemczech szalał protestantyzm, w okresie oświecenia, które głosiło ateizm. Stanowiła przez stulecia jedyną przystań dla wiernych wyznających religię rzymskokatolicką, pochodzących ze Śląska, Wielkopolski i Pomorza. Wyjątkowe zezwolenie na jej budowę, wydał sam Fryderyk II, król Prus. Miał to być gest pojednawczy dla ludności śląskiej po wkroczeniu w 1741 roku armii pruskiej i zajęciu całego Dolnego Śląska z Wrocławiem oraz zagarnięciu tego regionu od katolickiej Austrii. Fryderyk II - jako król absolutny był niechętnie usposobiony do religii chrześcijańskiej, a szczególnie do katolicyzmu, ale był przekonany o potrzebie wprowadzania w państwie zasad tolerancji religijnej. Na Śląsku, gdzie katolicyzm był silnie zakorzeniony, Fryderyk II starał się zapewnić sobie duży wpływ na duchowieństwo, szlachtę i Kościół. Symbolem dla jego tolerancji miała być zgoda na zbudowanie w stolicy państwa katedry katolickiej pod szczególnym wezwaniem - dla pojednania wybór padł na patronkę Śląska - św. Jadwigę. Król pruski 22 listopada 1746 roku wydał patent, który pozwalał parafii rzymskokatolickiej w Berlinie na wzniesienie kościoła w najstarszej części miasta.

Świątynię zbudowano w stylu klasycystycznym w latach 1747 - 1773, zaprojektował ją znany architekt Georg von Knobelsdorff, podobno według wskazówek samego Fryderyka Wielkiego. Król katolikom kazał zapłacić za tę budowę, jednocześnie narzucił konstrukcję i kształt bryły w formie starożytnego panteonu. Jednak berlińskiej mniejszości katolickiej to się nie podobało, ponieważ świątynia od początku nie była najlepiej przystosowana do sprawowania liturgii katolickiej. Kamień węgielny pod budowę katedry położono 13 lipca 1747 roku, dokonał tego opat zakonu cystersów Turno, a konsekrowana była przez ówczesnego biskupa warmińskiego Ignacego Krasickiego, często przebywającego na dworze królewskim.

Współczesna historia świątyni jest związana z podniesieniem jej rangi do Bazyliki Mniejszej w 1927 roku. W wyniku bombardowania Berlina w 1943 doszczętnie została ona zniszczona, a odbudowana dopiero w latach

Fot. A. Savin / wikipedia.org



Katedra pojednania

W zabytkowej części Berlina, blisko słynnej cesarskiej arterii Unter den Linden znajduje się najstarszy kościół katolicki - Katedra Świętej Jadwigi (Sankt Hedwigs Kathedrale). Świątynia ta jest kościołem arcybiskupa archidiecezji berlińskiej i ma duże znaczenie dla lokalnej mniejszości katolickiej. Przychodzą tutaj na niedzielne msze święte pracujący w Berlinie Polacy i odwiedzające stolicę Niemiec polskie wycieczki.

1952 - 1963 przez katolików dwóch państw niemieckich, finansowana szczególnie przez Niemcy Zachodnie. W krypcie katedry znajduje się grób bł. Bernarda Lichtenberga, jej proboszcza w latach 1938 - 1942, obrońcy Żydów, aresztowanego przez reżim nazistowski i zmarłego w drodze do Dachau.

Świątynia ma kształt dużej rotundy. Znajdują się w niej dwa poziomy i jest wspaniała akustyka. Z przyjemnością słucha się tu muzyki sakralnej, skłaniającej do refleksji nad życiem i skomplikowanymi dziejami katolickiej katedry, osadzonej w samym sercu historycznego Berlina.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



Fot. R. Flavius / wikipedia.org



Wymazani z pamięci

W latach powojennych w świadomości Polaków utrwalano jedynie stalinowskie przymioty wielkiego sojusznika, jakim rzekomo był ZSRR. Wymazano niemal całkowicie z pamięci i świadomości Polaków Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej, i wszystko, co z nimi było związane.

Pomorze, w tym miasto Gdańsk, na trwale wpisały się do naszej historii także z powodu funkcjonowania w powojennej Polsce podziemia antykomunistycznego. Jako autor znanej zapewne miłośnikom literatury historycznej trylogii „Opowiedział mi Maks” opisałem szczegółowo w jednej z jej części („Aresztowanie, dąpros, wojennyj sud” - wydanie z 1994 r. i wznowienia: „U boku Łupaszki” - z lat 2012 i 2014) wojenne dzieje partyzanckiej 5. Wileńskiej Brygady AK dowodzonej przez legendarnego Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”.

Sam dowódca tej Brygady nie jest jednak jej głównym bohaterem. Historię tę bowiem opowiada jego podwładny, dowódca 3. Szwadronu Konnego w tej Brygadzie - Antoni Rymsza „Maks”. To „Maks” charakteryzuje swojego dowódcę, z podziwem odnosząc się do jego zdolności dowódczych i cech charakteru, jakimi zasłynął nie tylko wśród podwładnych.

Widziana oczami „Maksa” i dzięki jego szczegółowym relacjom słownym zapisana wojenna historia tej

niezwykłej Brygady, weszła na stałe do polskiej historiografii z dwóch powodów, że nie posiadała stałych baz, które ułatwiałyby Sowiecom napaść na nią i jej rozbrojenie, a także z powodu nazwy, jaka do niej przyłgnęła po bitwie rozegranej pod Radziszami Łozowymi z partyzantką sowiecką - „Brygada śmierci”. To, że brygada - po rozbiciu przez Sowieców jej stałej bazy, jaką wcześniej utworzył pierwszy dowódca „Kmicic” - zrezygnowała ze stałego miejsca pobytu, było wyłączną zasługą „Łupaszki”, który uznał, że można funkcjonować, a do tego zwyciężać, będąc ciągle w ruchu.

Bohater moich książek historycznych kpt. Antoni Rymsza „Maks” miał na tyle ciekawe życie, że z trudem opowiadane przez niego historie udało mi się zmieścić w trzech odrębnych książkach. W książce poświęconej działaniom wojennym 5. Brygady AK, następnie w opisującej lata powojennego ukrywania się wraz z żoną Aldoną - wcześniejszą łączniczką i sanitariuszką tej Brygady, i w trzeciej -

o ponad 11-letnim pobycie w sowieckich łagrach na Kołymie.

Antoni Rymsza „Maks” był bohaterem wyjątkowym z wielu powodów. Zrodzony z ojca Polaka i matki Finki, uchodził do końca swej działalności partyzanckiej za wzór cnót żołnierskich i patriotyzmu. A ponadto, jako rodowity Kresowianin znał doskonale teren, na którym toczyła walki z podwójnym wrogiem jego Brygada. Znał języki: polski, rosyjski i niemiecki. A przede wszystkim był niezwykle cenionym strategiem, doskonałym żołnierzem i bardzo lubianym przez podwładnych dowódcą. Wśród ludności kresowej krążył nawet mit „Maksa” opiewający te liczne jego cechy osobowe.

„Maks” od początku swej partyzanckiej działalności był zaangażowany w tworzenie 5. Wileńskiej Brygady AK; organizował jej siatkę, gromadził broń, werbowal ludzi. Po jej sformowaniu najpierw walczył u boku „Kmicica”, którego w sierpniu 1943 roku wraz z 80-ma innymi partyzantami zamordowali Sowieci, a po jego

śmierci gromił zarówno Niemców, jak i Rosjan wraz z „Łupaszka”.

W przeciwieństwie do „Łupaszki” Rymsza po rozwiązaniu 11 listopada 1944 roku Armii Krajowej zrezygnował z dalszej walki i wraz ze świeżo poślubioną (w czerwcu) „Aldoną” (Aldoną Samotyją-Lenczewską) - łączniczką i sanitariuszką wojenną postanowili ułożyć sobie życie „wprawdzie w nie takiej Polsce o jaką walczyli”, ale rokującej życie w pokoju.

„Łupaszka” zwolnił „Maksa” i „Aldonę” ze złożonej wcześniej przysięgi żołnierskiej. Rozumiał ich, ale sam - mając w świadomości fakt, iż jego żona Anna mogła nie przeżyć niemieckiej niewoli (od chwili aresztowania przez Niemców na początku wojny, nie miał od niej żadnej wiadomości) - postanowił walczyć dalej. Miał przy sobie sanitariuszkę „Lalę”.

Historia Anny Szendzielarz wyjaśniła się dopiero wczesną wiosną 2017 roku, gdy na niewielkim cmentarzu na północy Badenii odnaleziono jej grób. Udało się ustalić, że to grób żony majora kawalerii AK „Łupaszki”. Anna i Zygmunt pobrali się na początku września 1939 roku. Krótko po wybuchu wojny Polka wywieziona została na przymusowe roboty do Niemiec. Przeszła dwa kolejne obozy koncentracyjne, by pod koniec wojny trafić do rodziny Grimmów, właścicieli fabryki w Balsbach. Była u nich tłumaczką, podobno traktowaną niemal jak członek rodziny. Zginęła rzekomo przypadkowo, postrzelona podczas działań wojennych.

„Łupaszka” popełnił błąd, gdyż zaufał rządowi londyńskiemu, od którego napływały do żołnierzy organizującego się polskiego podziemia zbrojnego mamiące informacje, że w maju 1946 roku wybuchnie wojna i Alianci ostatecznie rozprawią się z Rosją Radziecką. Mógł, jak wielu innych dowódców uniknąć represji ze strony Rosjan i polskiej bezpieki ścigającej żołnierzy AK, uciekając za granicę. Nie zrobił tego, bo uważał, że podjęta przez Sowietów 17 września 1939 roku walka z Polakami nie może zakończyć się utratą Kresów Wschodnich Rzeczypospolitej i poddaniem Polski w czerwoną niewolę.

Powojenne losy obu wielkiej klasy patriotów „Łupaszki” i „Maksa”, zanim rozdzieliły ich aresztowania, przez jakiś czas spletały się jeszcze.

Wojtkowscy szukali najpierw swego miejsca w Białymstoku, u ciotecz-

nego brata Rymszy - Edka. W końcu grudnia 1944 roku Aldona spotkała w sklepie UB-eka, ich byłego partyzanta, który ją rozpoznał. Krótko po tym pod ich kryjówkę podjechał samochód z żołnierzami. Cudem udało się im uciec z zasadzki. Razem z frontem posuwały się siły radzieckiej kontrrazwiedki wspomagane przez polski Urząd Bezpieczeństwa. Przeczucie Aldony podpowiadało jej, że kolejna zasadzka jest tylko kwestią czasu. I tak było, uszli z niej w ostatniej chwili.

18 stycznia 1945 roku krewny Rymszy wywiózł ich harlejem z przyczepką poza miasto. Po kilkunastu kilometrach jazdy zawrócił, gdyż złapał gumę. Zdani na siebie i przygodny transport wojskowy (żołnierzy LWP) dotarli do Lublina. To miasto też nie było dla nich bezpieczne.

Tym razem przypadek sprawił, że spotkali byłego AK-wca, przyjaciela - Tadeusza Stryckiego, który zabrał ich ze sobą do rodziny w Zaklikowie.

Antoni i Aldona Rymszowie ukrywając się, musieli zmienić nazwisko. Potrzebne też były jakieś dokumenty, by dostać pracę, bez której ży-

- Walenty Wiesztort zatrudnił go w Ministerstwie Autotransportu.

Pracując w ministerstwie Antoni poznał głównego szefa NKWD pułkownika Radke, który na potrzeby polskie zdjął mundur, a później, gdy władza ludowa utrwaliła się już w stolicy, objął tekę ministra bezpieki pod zmienionym nazwiskiem Radkiewicz.

Radke kilkakrotnie namawiał Antoniego na przejście do jego ministerstwa, proponując lepsze zarobki i warunki. Antoni odmawiał, udzielał wymijających odpowiedzi, obawiał się o ujawnienie swej przeszłości. Tym razem z pomocą przyszedł mu cioteczny brat generała Żeligowskiego (przebywającego w tym czasie w Londynie). Znał Antoniego Rymszę z czasów przedwojennych, był dyrektorem szkoły w Lidzie, a w świeżo wyzwolonej Warszawie objął stanowisko ministerialne. Zaproponował mu przyjazd do Warszawy i pracę w Ministerstwie Apropozycji i Handlu, przy rozdziale darów z UNRY.

Na wiosnę Antoni zamieszkał u niego na Dworkowej. Bez Aldony, która do końca wakacji zgodziła się



cia ułożyć się przecież nie dało. Tadeusz Strycki pomógł im w tym, zmienili nazwisko na Wojtkowscy.

Dla Aldony pracy nie szukali, była w ciąży. A dla Rymszy znaleziono ją w Lublinie. Lublin czasowo (po wyzwoleniu) przejął ważne funkcje administracyjne organizującej się powojennej gospodarki. Tam inny przyjaciel z Wileńszczyzny i partyzantki

pozostać u Wiesztortów (na Kwiatowej - boczna Poniatowskiej), by pomagać w nauce ich córce, która uczyła się razem z córkami Bieruta (przyjaźniła się też z nimi) w Gimnazjum Sióstr Urszulanek.

Raz jeszcze Rymsza zmylił bezpiekę, ale w Boże Ciało jego Aldona po raz kolejny dostała się w jej łapy. Wywieziona do Wroniek, torturowa-

na i poniżana nie wyjawiała kryjówek męża. Gdy 7 sierpnia zjawiała się u niego na Dworkowej, natychmiast razem opuścili Warszawę. Antoni miał już upatrzone domki w Oliwie. Pracując w ministerstwie aprowizacji, wykorzystał to, by szukać bezpiecznego miejsca dla rodziny poza zasięgiem ścigających go szpicli. Jak wspominał w rozmowie ze mną „Gdańsk i okolice po wyzwoleniu zostały bardzo zniszczone przez Sowietów. Palili, plądrowali i rabowali wszystko co niemieckie, co miało jakąkolwiek wartość”. W wejściu do upatrzonego domku, który pozostawał w miarę dobrym stanie, pozostawił napis; „Zajęte za zgodą ministerstwa”. Tam z dworca w Gdańsku poprowadził żonę. Rozczarowanie było ogromne. Jego upatrzonej wcześniej dom zajęty został przez... naczelnego dowódcę Wojska Polskiego generała Żymierskiego.

Na szczęście dla nich, również w rejonie Gdańska spotkać można było przyjaciół z Wileńszczyzny. Tym razem spotkali byłego właściciela stadniny koni Franciszka Wielkiego, który „znajomemu kawalerzyście” zaproponował kąt w zajętych przez siebie mieszkaniu we Wrzeszczu.

Na parterze piętrowej kamienicy usytuowanej w głębi podwórza przy ulicy Sienkiewicza było pięć pokoi, wspólna kuchnia, łazienka i WC. Ostatni z pokoi był jeszcze wolny.

Żeby czuć się bezpiecznym zmienił „papiery” także Zygmunt Szendzielarz. W sierpniu 1945 roku Szendzielarz spotkał się z Tadeuszem Wiesztortem, którego przeniesiono akurat z całym Autotransportem do Bydgoszczy. Wiesztort wyrobił Zygmuntowi dokumenty poświadczające zatrudnienie w Autotransporcie bydgoskim na nazwisko Hawling.

Mieszkanie Rymszów stało się punktem kontaktowym dla partyzantów z Wileńszczyzny. To od nich o ich miejscu pobytu dowiedział się Szendzielarz, który niespodziewanie wraz z „Lalą” odwiedził ich w drugiej połowie września. Zygmunt od kilku dni ukrywał się wówczas w Oliwie. Ich spotkanie nie miało charakteru czysto towarzyskiego, plan „Łupaszki” był inny. Planował, by ich mieszkanie stało się punktem kontaktowym dla całej siatki, jaką wówczas organizował na tym terenie. Zrezygnował, gdy zobaczył, że „to gniazdo os” - nad nimi mieszkali funkcjonariusze Państwowego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego. Trze-

ba trafu, że w tym samym czasie zorganizowali sobie wieczorną balangę z dowiezionym gazikiem akordeonistą. Pijąc alkohol śpiewali ruskie piosenki. „Łupaszka” był załamany, wypowiadał się głośno, co zrobiłby z nimi w innych warunkach.

Wymieniając poglądy „Łupaszka” trwał przy wariancie przyszłej wojny



z Sowietami, na wiosnę 1946 roku. Nowych wiadomości na ten temat z Londynu jednak nie miał, opierał się na przeczeniach. „Maks” wątpił więc, by Aliantom, aż tak zależało na Polsce i na jej żołnierzach, którzy zeszli do podziemia.

„Łupaszka” wiosną 1945 roku wszedł w porozumienie z „Mściśławem” i majorem Żukowskim, tworząc na terenie bielsko-podlaskim samodzielną jednostkę Armii Krajowej Obywateli. Mjr Żukowski był tam inspektorem rejonu, a Marian Pluciński „Mściśław” dowódcą I szwadronu, odtwarzającego załóżki 5. Wileńskiej Brygady Śmierci.

Niestety, zrobiło się tam gorąco, do walki z nimi wysłano regularne oddziały wojska i milicji. Musieli się przenieść w bezpieczniejsze miejsce. Myśleli o Pomorzu. Zygmunt potrzebował ludzi do zorganizowania siatki. Tworzył ekipy, których zadaniem było gromadzenie broni i rekwirowanie pieniędzy na potrzeby podziemia.

Ostatecznie „Łupaszka” namówił „Maksa” na bezpośredni udział w takiej akcji - chodziło o zorganizowanie napadu na pocztę w Sopocie. Gdy Rymsza zorientował się jednak, że kieruje nią znajomy z Wileńszczyzny (Tukar), zdecydował, że to będzie Monopol Spirytusowy.

Kolejny raz „Maks” zgodził się, by uczestniczyć (na Podhalańskiej w Oliwie) w bezpośredniej ochronie (z bronią w rękę) spotkania „Łupaszki” z Pohoreckim - komendantem Eksterytorialnego Wileńskiego Okręgu AK. „Łupaszka” informował go wtedy: „Jest niedobrze „Maks”, tropią nas jak zwierzyne. Słyszaleś, co dzieje się

w Białostockiem, Kieleckiem, na Śląsku? Wojsko obstawia lasy, organizuje łapanki. Ludzi tumanią propagandą, że jesteśmy bandytami i zdrajcami narodu. Musimy nasilić środki ostrożności”...

Po raz trzeci, ostatni, „Maksem” posłużył się jeszcze „Łupaszka”, wysyłając go w rejon Bydgoszczy, by odnalazł tam „Mścislawa” i przekonał go, że należy przenieść oddział, ze względu na pogorszenie się warunków bezpieczeństwa, w Olsztynskie.

Na początku października „Łupaszka” przyprowadził do ich kryjówki na Sienkiewicza majora Stefana Świechowskiego „Sulimę”, którego planował uczynić szefem propagandy po wybuchu wojny z Sowietami. Umówili się wtedy na kolejne spotkanie w listopadzie, do którego już jednak nie doszło, „Łupaszka”, po nieudanym spotkaniu w gdańskiej restauracji, musiał opuścić teren Gdańska ze względu na swoje bezpieczeństwo.

Szendzielarzowi trudno było przyzwyczaić się do nazwiska (dalekiego krewnego) wpisanego w nowe dokumenty - Hawling. Gdy pili w trójkę alkohol i głośno zachowywali się w lokalu, ktoś powiadomił patrol milicyjny. „Maksowi” udało się wcześniej wyjść do toalety i wyskoczyć przez okno. Legitymowany „Łupaszka” nie mógł sobie przypomnieć, jak się nazywa i wraz z Józefem Kamińskim wylądowali w areszcie, skąd jednak udało mu się uciec. Później był ostrożniejszy, lecz niewiele to dało, gdyż wyrok na żołnierzy podziemia niepodległościowego był jeden - mogli zginąć w walce, lub w katowniach SB. Obietnice rządu londyńskiego okazały się fałszywe. Zachód odmówił walki z ZSRR. Zaufanie dla Londynu takich dowódców jak „Łupaszka” kosztowało życie dziesiątki tysięcy żołnierzy podziemia zbrojnego.

Wcale nie było także łatwiej tym, którzy tej walki nie podjęli. Sam fakt, że w przeszłości bili się z partyzantką sowiecką i chronili przed nią ludność Kresów Wschodnich wystarczył, by po wojnie ścigać ich jak zwierzynę łowną, aresztować, mordować w ubeckich katowniach lub skazywać na sowieckie łagry. Aldony Rymszowej przed katownią we Wronkach nie uchroniła nawet ciąża. A życie uratowała jedynie dlatego, że oprawcy mieli nadzieję, iż po uwolnieniu doprowadzi ich do kryjówki swojego męża „Maksa”.

Zaraz po wojnie Gdańsk, a zwłaszcza Bałtyk był oknem na świat, łatwiej stąd było nawiązać kontakt z Londynem. Początkowo było tu bezpieczniej niż w Polsce wschodniej, potem jednak i tu stało się niebezpiecznie.

Pod koniec roku 1945 Rymszowie dowiedzieli się od sąsiada, że wypytują o nich funkcjonariusze UB. Trzeba było działać szybko. Przenieśli się do Oruni, gdzie znaleźli niezajęty jeszcze domek z ogrodem. Listopad i grudzień zeszły im na remoncie i wyposażaniu domu. Czasami pomagali im w tym „ludzie z siatki”, zatrzymujący się na krótko u nich uchodźcy ze Wschodu. Gdy dom był już urządzone, rankiem 27 grudnia pod bramę podjechał milicyjny samochód. Jeden z milicjantów wszczął awanturę, że zajęli jego dom. Zażądał dokumentu potwierdzającego jego przydział, a potem nakazał, by się natychmiast z niego wynieśli, grożąc konsekwencjami.

Zrozpaczeni, jeszcze tego samego dnia znaleźli nowe lokum w pobliżu, na Nowinach - Nowy Świat 19. Była to połowa jednopiętrowego bliźniaka, w którym zajęli piętro, a wspierający ich wówczas znajomi - Domaszkiewiczze parter.

Tam Antoni Rymsza raz jeszcze uniknął aresztowania. Kiedy po raz kolejny UB namierzyło jego mieszkanie, nie było go w domu. Aldonie udało się powiadomić męża, by nie wracał, zorganizowano na niego zasadzkę.

Nie wrócił, znalazł nową kryjówkę - tym razem poza Gdańskiem, do której na wiosnę 1946 ściągnął Aldonę.

Opowiadałem o tym na spotkaniach z czytelnikami w Choczewie. Powstała tam kilka lat temu bardzo prężna grupa kierowana przez Wiesława Bobkowskiego - Stowarzyszenie Antoniego Rymszy „Maksa”. Stowarzyszenie pielęgnuje historię nie tylko tych bohaterów, ale także całej walki niepodległościowej żołnierzy wyklętych. Współpracuje z lokalnymi stowarzyszeniami zajmującymi się historią, kulturą i szkolnictwem, z księżmi, a nawet z teatrem w Gniewinie, który zdobywał niedawno nagrody za sztukę teatralną opracowaną na podstawie książki mojego autorstwa „U boku Łupaszki”.

Zapewne do tradycji przędą kontynuowane od czterech lat w Gdańsku defilady przybywających tu z całej Polski w Dzień Pamięci Żoł-

nierzy Wyklętych (1 marca), licznych grup rekonstrukcji historycznych, odtworzających pododdziały polskiego podziemia zbrojnego uczestniczące w walkach niepodległościowych. Piękna to tradycja o niezwykle bogatym ładunku patriotycznym i moralnym.

W okresie całej stuletniej tradycji niepodległościowej Pomorze Gdańskie i Pomorze Zachodnie wielokrotnie wpisywało się do współczesnej historii Polski. Miały na to wpływ zaborcy i wspólne losy ludności (Polaków, Niemców, Prusaków, Kaszubów) zamieszkujących te tereny. Trwale zapisały karty tej historii losy II wojny światowej: Westrerplatte, Poczta Gdańska, piasnickskie lasy, walki o Wał Pomorski... A już za PRL-u - gdańskie grudzień i Stocznia Gdańska.

W życiu „Łupaszki” i „Aldony” oraz „Maksa” tereny te także zapisały swoje znaczące, a zarazem tragiczne karty.

W latach powojennych w świadomości Polaków utrwalano jedynie stalinowskie przymioty wielkiego sojusznika, jakim rzekomo był ZSRR. Wymazano niemal całkowicie z pamięci i świadomości Polaków Kresy Wschodnie Rzeczypospolitej, i wszystko, co z nimi było związane (w tym ludobójstwo w sowieckich łagrach).

Zakłamywana była agresja 17 września ZSRR na Polskę, a wręcz zakazane pod rygorem odpowiedzialności karnej było mówienie o Katyniu, Starobielsku, Miednoje. To samo dotyczyło żołnierzy AK i żołnierzy podziemia niepodległościowego.

Białych kart historii także było wiele - nie pisało się, nie mówiło głośno o wszystkim, co mogło źle świadczyć o sojuszniku, co było niezręczne, niewygodne dla partii, źle oceniano czas, w którym po II wojnie światowej się znaleźliśmy z... konieczności. A zafundowała nam ją wcześniejsza polityka rządu i układ sił na świecie, a głównie w Europie (polityka Stalina, Churchilla, zabójstwo gen. Sikorskiego, wyjście z ZSRR Armii Andersa...).

Tymi wszystkimi faktami głównie należy tłumaczyć żywiołowe wręcz odreagowywanie przez młode pokolenie Polaków na historię Żołnierzy Wyklętych.

Ustanowienie przez sejm w 2011 roku daty 1 marca Dniem Pamięci Żołnierzy Wyklętych i przekazanie IPN-owi specjalnych prerogatyw umożliwiających odkłamywanie historii z nimi związanej, ożywiło zain-

interesowanie tą owianą tajemnicami i zapomnianą przez historię formacją zbrojną o wojskowych tradycjach niepodległościowych, sprzeciwiającą się - po zakończeniu II wojny światowej - sowieckiej komunizacji kraju.

„Łupaszka” to współcześnie bodajże najbardziej znany żołnierz wyklęty. Za zasługi wojenne został awansowany w listopadzie 1944 roku do stopnia majora (Rymsza ps. „Maks” - do stopnia kapitana). 5. Wileńska Brygada odbudowana została przez niego na terenie Białostockizny wiosną 1945 roku. W lipcu liczyła już ok. 250 żołnierzy i przeprowadziła kil-

ukrywał się najpierw w Warszawie, potem w rejonie Głubczyc, a następnie w Osielcu k. Makowa Podhalańskiego. Tam 30 czerwca został aresztowany przez funkcjonariuszy MBP.

Po 2,5-letnim pobycie w więzieniu na Mokotowie 2 listopada został skazany przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na karę śmierci. Rozstrzelano go na Rakowieckiej 8 lutego 1951 rplu. Miejsce jego pochówku, aż do czasu odnalezienia szczątków przez specjalnie powołaną Grupę Poszukiwawczą IPN - w tzw. Kwaterze na Łączce (wśród kilkuset ofiar pomordowanych przez UB) - nie było znane.

wiała im, że tak będzie lepiej - unikną prześladowań i więzienia.

Stało się inaczej, w sierpniu 1948 roku „Maksa” aresztowano i odtransportowano do PUB w Łęborgu, stąd potem przewieziony został do Warszawy i przekazany w ręce Sowietów.

Kilka miesięcy później Rosjanie osadzili go w największym swoim więzieniu w Polskiej Legnicy, gdzie po rocznej gehennie prześladowań i tortur skazany został na 125 lat więzienia i karę śmierci.

Wyroku nie wykonano jednak. Stalin zamienił mu go na 25 lat zesłania do łagrów. Wyniszczona wojną ziemia radziecka potrzebowała darmowych wyrobników, a on był młody, mógł aż do wyczerpania swoich sił fizycznych przydać się ZSRR, pracując w najsurowszych warunkach północy, na Syberii, w łagrach Kołymy - w kopalniach złota i wolframu za dzienną porcję 300 g chleba i miskę bałandy.

Przeżył Kołymę i niewyobrażalne wręcz jej warunki. Po śmierci Stalina, odwilży politycznej i nawiązaniu kontaktów pomiędzy Gomułką i Chruszczowem, ta część Polaków, której udało się przeżyć dotychczasową gehennę zsyłek, mogła wrócić do Polski.

Z powodu swej hardej wobec sowieckiego systemu postawy i zapatrywań politycznych Antoni Rymsza znalazł się w tej ostatniej grupie zesłańców, którym to się udało. Wrócił w dniu swoich 45. urodzin - 14 kwietnia 1959 roku. Do Polski, w której jeszcze do roku 1989 musiał uchodzić za wyklętego, za „zapłutego karla reakcji”, za niegodnego Polski Ludowej obywatela, któremu należała się tylko pogarda.

Jan Stanisław Smalewski, Bąkowo

Prawdziwą historię żołnierzy wyklętych Jan Stanisław Smalewski opisał w unikatowym dziś wydaniu trylogii „Opowiedział mi Maks” - Wyd. ARS PRINT PRODUCTION, Warszawa 1994 - 1996 oraz w późniejszych, zbeletryzowanych jej częściach: „U boku Łupaszki” (wyd. PATI Wa-wa 2012) i „Więzień Kołymy” (wyd. Fundacja Dziedzictwo - Sławno 2012), a także: „U boku Łupaszki”, „Żołnierze Łupaszki”, „Więzień Kołymy”, „Łupaszka - trylogia” i „Pod rozkazami Łupaszki” (wydanymi przez wydawnictwo MIREKI Kraków - Warszawa w latach 2014 - 2016). Powstała także publikacja jego autorstwa opisująca działalność AK na obszarze Lwowskim i łagry Workuty pt. „Wyrok Workuta”, wydana przez IPN Wrocław - 2008.(z)

kadziesiąt akcji zbrojnych przeciwko NKWD, UBP, MO i KBW. We wrześniu jednak Komenda Białostockiego Okręgu Armii Krajowej Obywateli (tak po rozformowaniu wojennych brygad nazwano AK) nakazała mu rozformować brygadę.

„Łupaszka” wyjechał wtedy na Pomorze, gdzie po nawiązaniu kontaktu z konspiracyjnymi strukturami podporządkował się komendantowi eksterytorialnego Wileńskiego Okręgu AK, ppłk. Antoniemu Olechnowiczowi „Pohoreckiemu”. Do walki wrócił w 1946 roku odtwarzając na wiosnę w Borach Tucholskich 5. Brygadę Wileńską i stając na jej czele. Oddział liczył wtedy ponad 70 żołnierzy i działał na terenie województw: zachodnio-pomorskiego, gdańskiego i olsztyńskiego.

W końcu 1946 roku, po przeniesieniu się na teren Białostockizny, dołączył do 6. Brygady Wileńskiej dowodzonej przez „Wiktora” ppor. Lucjana Minkiewicza. W marcu 1947 opuścił oddział. Polowanie na niego było już tak zaawansowane, że postanowił ukrywać się samodzielnie.

24 kwietnia 2013 roku doczesne szczątki tego Żołnierza Niezłomnego z należnymi honorami, w mundurze majora Wojska Polskiego spoczęły na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie.

Zupełnie inaczej potoczyły się dalsze losy kpt. Antoniego Rymszy „Maksa”. Gdy zmuszony został opuścić Orunię, pracował najpierw w Lubiewie, potem w m. Żelazno, by wreszcie zamieszkać z rodziną w przedwojennym majątku hrabiego Doniemirskiego w Osiekach Łęborskich.

Ukrywając się pod zmienionym nazwiskiem Wojtkowscy, rodzina Rymszów (mieli już z Aldoną synka Wiesława) uwierzyła w podstępnie (wymuszoną przez Sowietów) ogłoszoną przez rząd Osóbki - Morawskiego amnestię dla AK-owców, i w marcu 1948 roku zgłosiła się do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, by pozbyć się ciężaru wojennej przeszłości związanej z walką w szeregach AK. „Maks” do końca nie ufał nowemu rządowi i jego polityce uzależniającej kraj od ZSRR, lecz intuicja kobieca Aldony - która tym razem zawiodła - podpo-



Fot. Archiwum Autora

„Kupiec Wenecki” doczekał się wielu przekładów i twórczych opracowań nie tylko teatralnych, również operowych, filmowych. Sztuka jest uważana za komediodramat ponadczasowy. Mimo że akcja dzieje się w szesnastowiecznej Wenecji, to przedstawiony temat jest nadal aktualny. Opowiada o dwóch weneckich arystokratkach uwikłanych w problem życiowy. Najlepszy przyjaciel Antonia, Bassanio, zakochuje się w Portii. Żeby jednak móc ją zdobyć, potrzebuje pożyczyć dużo pieniędzy. Z pomocą przychodzi mu Antonio, który co prawda nie dysponuje obecnie gotówką - całość swojego kapitału już zainwestował - jednak pożycza 3000 dukatów od kupca żydowskiego Shylocka. Ten zgadza się na udzielenie pożyczki nieoprocentowanej, jednak stawia istotny warunek: jeśli Antonio nie odda całej sumy na czas, Shylock będzie miał prawo do wykrojenia funta mięsa z ciała dłużnika.”

Ten zasadniczy warunek i wydający się pozornie tylko abstrakcyjny zapis staje się jednak rzeczywistością i live motywem całej sztuki. Jest treścią spektaklu, z końcową oceną moralną i wyrokiem sądowym. Akcja sztuki obfituje w niespodziewane wydarzenia i niespodziewaną puentę, wynikającą z werdyktu sądu. Dowiadujemy się z niej jak szybko można się stać w sądzie z osoby wnoszącej uzasadnione roszczenia, osobą o uznanej winie, tracącą dorobek życia.

Dramaturgia sztuki jest problemem moralny dotyczący odpowiedzialności za podjęte zobowiązania i granic ludzkiej przyzwoitości. Szekspir podjął temat kontrowersyjny. Przedstawia pożyczkodawcę jako chciwego wyzyskiwacza, a Antonia jako uczciwego i

dobrego człowieka. Jednak przebieg rozprawy przed sądem oraz wyrok pozostawia widza w zadumie i w poczuciu dokonanej niesprawiedliwości.

Sztukę wyreżyserował Szymon Kaczmarek, scenografię wykonała Kaja Migdalek. Grają w niej: Igor Chmielnik - jako Shylok, Krzysztof Kluzik - jako kupiec Antonio, Monika Janik - jako Portia, Wojciech Marcinkowski - jako Bassanio, Adam Ję-

„Kupiec Wenecki” w Nowym Teatrze

Zainteresowanie „Kupcem Weneckim” Williama Shakespeare’a w słupskim teatrze pobiło wszelkie rekordy frekwencji. Dyrektor Dominik Nowak zaproponował powrót do klasyki, do szczytowych osiągnięć w twórczości komediowej Shakespeare’a, i optało się.

drosz - kilka ról, Anna Kończal gościnnie - jako córka Shylocka, Kacper Sasin gościnnie - jako narzeczony córki Shylocka. Artyści przenoszą swoją ekspresyjną grą treść sztuki we współczesne realia. Na wyróżnienie zasługuje cały zespół, ale na szczególne - Igor Chmielnik, który wspaniale zagrał postać Shylocka oraz Monika Janik - Portia (w swoich różnych wcieleniach).

Sentencje filozoficzne padające z ust Krzysztofa Kluzika i z projekcji na ekranie wywołują u widzów refleksje nad ideałami żywymi i podwójną moralnością. Aktorsko zespół słupski i osoby występujące gościnnie w sztuce stanęły na wysokości zadania, aby przekazać przerażające w swej istocie przesłanie, że przy zastosowaniu różnych sztuczek prawda może stać się rzeczą względną i zależy od tego, kto ją stosuje i dla jakich potrzeb. Taką główną konkluzję można wynieść z granej w słupskim teatrze sztuki Williama Shakespeare’a, która jest nie tyle komediową farsą, co raczej dramatem człowieka.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk





„Wyspiański nieznany”

Mija kolejna rocznica śmierci wielkiego Polaka Stanisława Wyspiańskiego. W tym roku przypada też 150. rocznica jego urodzin. Artysta pozostawił dorobek o wielkim znaczeniu dla narodowego i światowego dziedzictwa. To jeden z najwybitniejszych przedstawicieli epoki Młodej Polski i największy w naszych dziejach reformator teatru. Muzeum Narodowe w Krakowie zorganizowało niebywałą wystawę jego prac zatytułowaną „Wyspiański nieznany”.

Wystawa przedstawia największą do tej pory kolekcję dzieł artysty - wybitnego malarza, rysownika, grafika, witrażysty, a także dramaturga i poety oraz scenografa i twórcy teatru nowej wizji. Zgromadzono na niej blisko 500 eksponatów z liczącego około 900 pozycji zbioru prac tego artysty. Niektóre prace zostały pokazane po raz pierwszy. Wystawie towarzyszy szlak dla zwiedzających, który prowadzi do kościołów i innych obiektów użyteczności publicznej, gdzie znajdują się prace Wyspiańskiego. Napotkamy na nim monumentalne zespoły projektów wykonane m.in. dla krakowskiego kościoła Ojców Franciszkanów, katedry na Wawelu i Domu Towarzystwa Lekarskiego.

Wyspiański był artystą wszechstronnym, obdarzonym wielkim talentem i inwencją twórczą. Jego dzieła, nie tylko malarskie, także dekoracyjne uświetniają kościoły i inne obiekty sakralne, a zaprojektowane witraże należą do najpiękniejszych w kraju. W latach 1890 - 1900 tworzył projekty witraży i polichromii, z których pełnej realizacji doczekał się wspomniany

zespół witrażowy w krakowskim kościele Franciszkanów, wykonany w latach 1897 - 1902. Są to cztery witraże o tematyce: „Żywioty”, „Św. Salomea”, „Św. Franciszek” i „Bóg Ojciec”. Byłem pod wrażeniem zwłaszcza tego ostatniego witraża, jego piękno wydobywa się z osobliwego doboru kolorowych ornamentów, przez które przenikają promienie słoneczne, eksponując postać Boga Ojca jako stwórcy świata. Wspaniała kompozycja została zainstalowana w oknie witrażowym nad głównym wejściem do kościoła.

Na wystawie można oglądać też projekty witraży na arkuszach i kartonach, które pozostawił artysta. Są również niezrealizowane witraże - wstrząsające i groźne w swoim wyrazie zaprojektowane dla katedry wawelskiej, przedstawiające ogromne postacie Kazimierza Wielkiego, Stanisława Szczepanowskiego i Henryka Pobożnego. Artysta wykonał też projekty witraży dla katedry lwowskiej o tematyce: „Śluby Jana Kazimierza”, „Polonia” i „Madonna”.

W kościele Ojców Franciszkanów został zrealizowany również projekt

polichromii ścian o motywach dekoracyjnych, nawiązujących do polskiej secesji. Są to elementy roślinne, szczególnie ulubione przez artystę i wyeksponowane kwiaty lilii. Wyspiański projektował także witraże i polichromie do kościołów Dominikanów oraz Św. Krzyża. Podarował Muzeum Narodowemu w Krakowie pastelowe arcydzieła - projekty witraży do okien katedry krakowskiej. Wyspiański był twórcą religijnym, tworzył dla potrzeb sztuki sakralnej, wykorzystywał tematy i motywy religijne, w małym wymiarze wykonywał elementy dekoracyjne do wyrobu dewocjonaliów. Motywy roślinne czerpał z wędrowek po okolicach Krakowa. Pozostawił po sobie piękny zielnik z lat 1896 - 1897. Elementy roślinne wprowadzał w formie przestylizowanej do książek i portretów, jednak głównie wykorzystywał je w celach dekoracyjnych i wiążących w polichromii, witrażach i przedmiotach codziennego użytku.

Na podstawie eksponatów pokazanych na wystawie można wyodrębnić trzy kierunki zainteresowań artysty: były nimi rośliny, a szczególnie

kwiaty, dzieciństwo i macierzyństwo oraz twarz ludzka z wyeksponowaniem psychiki ówczesnych wybitnych osobowości. „Wyspiański nieznany” to zbiory skupiające w większości dzieła i przedmioty z otoczenia artysty. Do najciekawszych można zaliczyć pastelowy autoportret z 1897 roku oraz portret dr. Jana Raczyńskiego z 1904, oba zakupione do kolekcji Muzeum Narodowego w Krakowie w listopadzie ubiegłego roku.

Po raz pierwszy pokazano także liczący blisko 600 pozycji księgozbiór własny artysty, zakupiony przez Muzeum w Krakowie w 1910 roku od wdowy po Wyspiańskim, Teodory Teofili z domu Pytko. Prawie wszystkie książki są podpisane ręką artysty i datowane. W wielu znajdują się ołówkowe szkice Wyspiańskiego, w innych – dedykacje współczesnych poetów i pisarzy, którzy mu je podarowali.

Najliczniejszą grupę dzieł Wyspiańskiego zebranych do czasów współczesnych stanowi zbiór rysunków ołówkiem, tuszem, węglem, w tym m.in. szkice z czasów szkolnych, projekty scenograficzne i typograficzne. Zachwycająca jest kolekcja malarstwa portretowego i pejzażowego, wykonana pastelami. W technice tej osiągnął absolutne mistrzostwo, a najciekawsze są wizerunki dzieci. To portrety m.in. dzieci artysty: „Śpiący Staś”, „Helenka”, „Śpiący Mietek”. Wiele portretów artysta poświęcił żonie Teodorze z dziećmi.

Wyspiański był również pejzażystą, niemal przez całe życie związanym z Krakowem. Okna jego pracowni wychodziły na Wawel. Artysta codziennie patrząc na Wzgórze Wawelskie rozkochał się w pięknej pa-

noramie, malował i szkicował coraz to nowe ujęcia w zależności od pory dnia i dostępnego światła. Z tego okresu pozostało wiele rysunków, szkiców i grafik, na przykład „Widok na Kopiec Kościuszki” (pastel z 1905 r.).

Na wystawie można również obejrzeć komplet pierwodruków dramatów Wyspiańskiego, od „Legendy” i „Warszawianki” z 1898 roku po opublikowane w roku śmierci artysty: „Skalkę”, „Powrót Odysa” i „Sędziów”. Zostało pokazanych wiele rysunków z okresu młodości oraz pastelów pochodzących z kolekcji m.in. Muzeum Narodowego w Poznaniu, Muzeum Lubelskiego, Muzeum Narodowego w Warszawie oraz ze zbiorów prywatnych kolekcjonerów.

Wyspiański był nie tylko reformatorem teatru, ale twórcą kostiumów, scenografii i współreżyserem wystawianych dramatów jego pióra. Na wystawie możemy podziwiać jego osiągnięcia również i w tej dziedzinie. Koncepcję teatru nowej wizji Wyspiański przedstawił w wierszu „I ciągle widzę ich twarze”: „Teatr mój widzę ogromny, wielkie powietrzne przestrzenie, ludzie je pełnią i cienie”... Proponował obejmować całościowo przedstawienie teatralne, jako dzieło sztuki realizowane przez jednego artystę, który ma spójną wizję i panuje nad tekstem, obrazem plastycznym, inscenizacją i reżyserią.

Wyspiański pozostawił duży dorobek literacki i dramaturgiczny: 18 dramatów i 8 rapsodów stanowiących scenariusze sztuk wystawianych do dzisiaj w teatrach całej Polski. Najważniejszy jest oczywiście dramat „Wesele”, który osiągnął w Polsce ponad 120 wydań i był tłumaczony na



dziesięć języków. „Wesele” stanowi epopeję narodową. Akcja sztuki toczy się w przełomowym okresie dla Polski, kiedy budzą się społeczne pragnienia o wolności ojczyzny. Dramat jest również pokazem słabości narodowych i ciążących wad, które zgubiły Polskę. Jednocześnie mamy zawarte w sztuce też marzenia o powrocie Polski do królewskiej świetności.

W roku śmierci artysty powstał komitet składający się z wybitnych przedstawicieli ówczesnego życia artystycznego i naukowego Krakowa, mający na celu zgromadzenie w Muzeum Narodowym spuścizny po zmarłym „czwartym wieszczu” (po ukazaniu się „Wesela” tak nazywano Wyspiańskiego). W ostatnich latach pojawiły się wydawnictwa o Wyspiańskim, godne odnotowania i uzupełnienia zasobów bibliotek szkolnych. Ukazały się m.in. książka Moniki Śliwińskiej „Wyspiański - dopóki starczy życia” i ciekawe opracowanie albumowe Marty Romanowskiej „Stanisław Wyspiański”.

Dla Polaków Stanisław Wyspiański pozostanie najwybitniejszym twórcą Młodej Polski. Był wielkim patriotą i służył odradzającej się Polsce. Jego pogrzeb był potężną manifestacją. Ten zasłużony dla kraju artysta spoczywa w krypcie w kościele Ojców Paulinów na Skalce w Krakowie.

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu



Problemem okazał się teatr środka

Trudną i wymagającą poświęceń drogę starałem się przejść z zachowaniem uczciwości i poszanowania wspólnego dobra, jakim jest publiczny teatr. Rozszerzenie profilu teatru niosło za sobą ogromne ryzyko. Publiczność patrzyła na nasze działania z podejrzliwością i dużym dystansem. Zespół również zastanawiał się, do czego to doprowadzi.

Z Dominikiem Nowakiem – dyrektorem Nowego Teatru im. Witkacego w Słupsku – rozmawia Włodzimierz Lipczyński.

- W 2016 roku objął pan stanowisko dyrektora naczelnego i artystycznego słupskiego teatru. Nie jest to długi okres, ale można już podjąć się próby oceny dotychczasowych dokonań. Jaka byłaby ta ocena?

- Myślę, że powinna być dobra. Był to dla nas czas ogromnego wysiłku, zmian, reform. Bardzo dużo się w przeciągu ostatnich trzech lat wydarzyło. Teatr wyszedł z permanentnego zadłużenia - obecnie każdy rok kończymy ze spokojem o stabilność finansową i organizacyjną instytucji. Nasza aktywność jest dwa razy większa niż była w 2016 roku, kiedy 1 stycznia rozpoczynałem w Słupsku pracę. W ubiegłym roku zagraliśmy 243 spektakle (w 2015 roku było ich 154), oprócz tego prowadziliśmy szereg działań edukacyjnych, eventowych, okołoteatralnych, których wcześniej w teatrze prawie nie było. Zmienił się też profil instytucji - wprowadzamy do repertuaru spektakle progresywne, pokazujemy się na festiwalach. W 2018 powołaliśmy swój festiwal „Scena wolności”, który odbił się olbrzymim echem w mieście i całym kraju. Zorganizowaliśmy go z okazji 100-lecia odzyskania przez Polskę niepodległości. Już wiemy, że będzie to impreza cykliczna - w tym roku odbędzie się w październiku, w 30-tą rocznicę przemian ustrojowych w tej części Europy. Największym jednak wydarzeniem mijającej kadencji było pozyskanie środków i rozpoczęcie budowy siedziby Nowego Teatru. W miejscu jedynej należącej do nas nieruchomości (stary warsztat/magazyn) powstaje Centrum Inicjatyw Spo-

lecznych i Artystycznych. Budynek będzie posiadał scenę z widownią na 240 miejsc, sale prób i sale warsztatowe, foyer z kawiarnią, pełne zaplecze techniczne, biurowe oraz pokoje aktorskie z tarasami na dachu. Po piętnastu latach działalności słupski teatr zyska wreszcie swoją własną siedzibę!

- Czy można powiedzieć, że dobrze układa się panu współpraca z zespołem aktorskim? Jak pan ocenia możliwości rozwojowe teatru?

- Początek mojej działalności w Nowym Teatrze im. Witkacego w Słupsku był pełen wątpliwości i niewiadomych - zarówno po mojej, jak i osób, które tu spotkałem stronie. Trudną i wymagającą poświęceń drogę starałem się przejść z zachowaniem uczciwości i poszanowania wspólnego dobra, jakim jest publiczny teatr. Rozszerzenie profilu teatru niosło za sobą ogromne ryzyko. Publiczność patrzyła na nasze działania z podejrzliwością i dużym dystansem. Zespół również zastanawiał się, do czego to doprowadzi. Pierwsza premiera, jaka powstała w Słupsku za mojej dyktacji, jest w moim przekonaniu, najlepszym spektaklem mijającej mojej kadencji. „Ulica” na podstawie powieści Daniela Odiji, była spektaklem - manifestem artystycznym, pokazywała kierunek rozwoju, jaki obraliśmy. Oczywiście ten teatr jest dla wszystkich i musi działać możliwie we wszystkich gatunkach, co konsekwentnie robimy. Oczekiwania widzów są bardzo zróżnicowane, staramy się je spełniać, ale również pokazywać lokalnej publiczności nowe formy działalności.



Fot. P. Stępień

- Widza interesuje repertuar teatru - nim się kieruje, a ten zależy głównie od preferencji dyrektora placówki, jego upodobań i możliwości realizacyjnych - finansowych i technicznych?

- Dobór pozycji repertuarowych musi spełniać określone funkcje, jest rzeczywiście ograniczony możliwościami organizacyjnymi i finansowymi. Na pewno nie jest tak, że dyrektor wybiera sobie pozycje repertuarowe według swojego upodobania. To instytucja publiczna, przed którą stoją określone zadania. Przez ostatnie trzy lata realizowaliśmy repertuar dzieląc go na cztery podstawowe funkcje: rozrywka, edukacja, spektakle progresywne i teatr środka. Oczywiście największym zainteresowaniem cieszyły się spektakle komediowe i muzyczne. „Mayday 2” czy „Wszyscyśmy z jednego szynela” były i ciągle są hitami sprzedażowymi w naszym teatrze. Wśród spektakli lekturowych największym echem odbił się niedawny „Pan Tadeusz”. Ze spektakli festiwalowych najgłośniejszym tytułem było przedstawienie „Dwoje biednych Rumunów mówiących po polsku”. Problemem okazał się teatr środka. W 2016 roku przygotowaliśmy „Bo-



ga mordu” z gwiazdami w obsadzie (Lesław Żurek i Katarzyna Maciąg), który spotkał się ze znacznie mniejszym zainteresowaniem niż zakładałem. Tymczasem spektakl ten został uznany przez Gazetę Świętojańską za komedię roku. Mimo to większym zainteresowaniem cieszy się poza Słupskiem niż w siedzibie teatru. Przygotowany rok później „Biedermann i podpalacze” był bardziej klasycznym dramatem skierowanym do tradycyjnej mieszczańskiej publiczności. Niestety, cieszył się jeszcze mniejszą popularnością. Dopiero „Seks dla opornych” okazał się hitem sprzedażowym. Jestem przekonany, że lokalna publiczność oczekuje wyrazistych propozycji, i takie zamierzamy realizować w ciągu kolejnych trzech lat.

- W ostatnim czasie można zaobserwować wiele innowacji w teatrze. Proszę przypomnieć, jak jest realizowana koncepcja wszechstronności i uniwersalności teatru oraz jego funkcja edukacyjna?

- Niezwykle ważnym elementem naszej działalności, a jednocześnie formą promocji i komunikacji z naszą publicznością jest edukacja teatralna i są działania okołoteatralne. W teatrze stale działa kilka grup angażujących

dzieci, młodzież i seniorów. W najbliższym czasie chcemy zorganizować również zajęcia dla osób niepełnosprawnych. W teatrze działa Klubu Recenzenta w formie dyskusyjnego koła krytycznego, publikującego swoje recenzje w wydawanej gazecie. Zamierzamy również uruchomić warsztaty dramatyczne, wyjść z odbywającymi się obecnie po spektaklach lekturowych lekcjami teatralnymi do szkół, organizować spotkania tematyczne dla osób starszych. W najbliższym czasie ruszamy z akcją czytania bajek, dramatów i poezji w słupskich oraz okolicznych kawiarniach. Chcemy publikować programy teatralne, katalogi edukacyjne, a z okazji 15-lecia powołania Nowego Teatru w Słupsku zamierzamy wydać książkę podsumowującą ten okres. Działamy projektowo i okazjonalnie, organizując wydarzenia w teatrze i przestrzeni miejskiej. Raz w miesiącu w teatrze działa niania animująca zabawy dla dzieci pozostawionych pod jej opieką, podczas gdy rodzice uczestniczą w spektaklu na dużej scenie. Dla obcokrajowców organizujemy spektakle z napisami w języku angielskim i niemieckim. Współpracujemy z lokalnymi jednostkami przy organizacji okolicznościowych wydarzeń i akcji. Jest to wiele działań, które edukują, informują i pozwalają odbiorcom utożsamiać się z naszą instytucją.

- Mieszkańcy Słupska, szczególnie sympatycy teatru przyglądają się budowie nowego teatralnego obiektu. Czy wszystko odbywa się zgodnie z harmonogramem?

- Budowa realizowana jest zgodnie z harmonogramem. Póki co nie mamy opóźnień. W marcu zamykamy stan surowy i rozpoczynamy działania wewnątrz budynku. Planowane oddanie inwestycji to wiosna 2020 roku. Mam nadzieję, że za rok w Międzynarodowy Dzień Teatru, 27 marca spotkamy się na otwarciu nowej siedziby. Inwestycja realizowana jest w ramach projektu „Łamiemy bariery, łączymy pokolenia - rewitalizacja Obszaru Podgrodzia, Starego Miasta i Śródmieścia Miasta Słupska” finansowanego ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Regionalnego Programu Operacyjnego dla Województwa Pomorskiego na lata 2014 - 2020. Budynek będzie okazały. Projekt obejmuje też zagospodarowanie podwórka należącego do Polskiej Filharmonii Sin-

fonia Baltica. Nowy obiekt będzie w pełni przystosowany do potrzeb osób niepełnosprawnych. W projektowanych pomieszczeniach, oprócz działalności scenicznej, teatr będzie prowadził działalność społeczną i edukacyjną skierowaną do dzieci i młodzieży, seniorów oraz osób z obszaru rewitalizowanego. Planowana inwestycja raz na zawsze rozwiąże problem współdzielenia jednego budynku przez dwie kulturalne instytucje.

- Jak w działalności teatru zapowiada się ten rok. Czego jeszcze nowego możemy się spodziewać?

- Rok obecny zaczął się również niezwykle intensywnie. Jesteśmy już po premierze „Kupca Weneckiego” w reżyserii Szymona Kaczmarka. Obecnie pracujemy nad kolejnymi dwiema produkcjami. Już 6 kwietnia pokażemy farsę „Pomoc domowa” w reżyserii znanego w Słupsku Alberta Osika. Jest to kontynuacja przeboju komediowego „Boeing, Boeing”, grane go z powodzeniem w naszym teatrze. W maju czeka nas premiera rosyjskiej komedii na małej scenie - „Wykrywacz kłamstw” w mojej reżyserii. Przed wakacjami zaczniemy jeszcze próby do spektaklu „Nasz mały PRL” w reżyserii rozchwytywanej obecnie w Polsce Darii Kopiec. Jego premiera odbędzie się 14 września. Jesienią otworzymy festiwal „Scena wolności” spektaklem „Trump Ameryka”, przygotowanym przez Kantor Downtown Kolektyw pod przewodnictwem Wiktora Rubina. Przed świętami będzie szósta premiera. Zagramy „Pasztety do boju” - niezwykle mądrą i wzruszającą opowieść skierowaną do młodzieży, podejmującą problem walki z mową nienawiści w przestrzeni publicznej. Oprócz omawianego już festiwalu zorganizujemy przegląd sezonu w dniach od 13 do 16 czerwca. W ciągu czterech dni widzowie będą mogli zobaczyć wszystkie produkcje mijającego sezonu - nie tylko naszej instytucji, ale i pozostałych teatrów w mieście. Oczywiście największym wyzwaniem organizacyjnym jest realizacja budowy nowej siedziby. Chcielibyśmy w wakacje wyremontować małą scenę, której największym problemem jest brak klimatyzacji i widoczności, co znacząco obniża komfort pobytu w niej. Jak widać, czeka nas niezwykle pracowity rok.

Rozmawiał:

Włodzimierz Lipczyński, Słupsk
w.lipczynski@interia.eu

Art. 561 [5] Kodeksu cywilnego mówi, że jeżeli sprzedawca, który otrzymał od kupującego żądanie wymiany lub usunięcia wady albo obniżenia ceny, nie ustosunkował się do tego żądania w terminie 14 dni, uważa się, że uznał je za uzasadnione. Złożoną reklamację uznaje się za uwzględnioną w zakresie zawartego w niej żądania konsumenta, które przedsiębiorca jest obowiązany spełnić. Omawiane uprawnienia dzielą się na dwie grupy: naprawa towaru lub wymiana towaru na nowy - konsument wybiera, czy żąda od sprzedawcy wymiany towaru na nowy, czy jego naprawy w celu usunięcia wad. Sprzedawca może jednak odmówić rozpoznania reklamacji we wskazany sposób, ale tylko wtedy, gdy usunięcie wad jest niemożliwe lub wiąże się z nadmiernymi kosztami. Konsumentowi przysługuje uprawnienie żądania obniżenia ceny lub odstąpienia od umowy, gdy wada produktu jest istotna. Konsument wskazuje sumę, o którą cena ma zostać obniżona, jednak ustawa wymaga, by obniżona cena pozostawała w proporcji do początkowej ceny produktu, w której wartość produktu z wadą pozostaje do wartości produktu bez wady. Uprawnienia są równorzędne, co oznacza, że konsument ma dowolność w wyborze sposobu rozpatrzenia reklamacji. Natomiast obniżenie ceny, czy zwrot pieniędzy jest zawsze wariantem ostatecznym. Przysługuje wtedy, gdy naprawa towaru lub wymiana na nowy nie będzie możliwa. Ponadto, jeżeli towar jest reklamowany pierwszy raz, sprzedawca może nie zgodzić się na obniżenie ceny lub zwrot pieniędzy, gdy niezwłocznie i bez nadmiernych niedogodności dla konsumenta wymieni wadliwy towar na wolny od wad albo wadę usunie.

Uznanie żądania konsumenta za zasadne w wyniku braku odpowiedzi na reklamację powoduje nie tylko konieczność spełnienia przez przedsiębiorcę żądania wskazanego w reklamacji, lecz także - wskutek domniemania istnienia wady fizycznej - oznacza przyznanie przez przedsiębiorcę, że towar ma wady fizyczne, tzn. był niezgodny z umową w chwili jego wydania.

Wynika stąd, że gdyby doszło do postępowania sądowego, przedsiębiorca nie mógłby powoływać się na opinię rzeczoznawcy, stwierdzającą faktyczny brak wad fizycznych pro-

Brak odpowiedzi na reklamację

Brak odpowiedzi na reklamację w terminie 14 dni od otrzymania żądania konsumenta skutkuje uznaniem tego żądania w zakresie i treści wskazanym w reklamacji. Od 25 grudnia 2014 roku zagadnienie odpowiedzialności sprzedawcy w takim przypadku reguluje ustawa o prawach konsumenta oraz Kodeks cywilny.



Fot. Janalija / Freepik

duktu istniejących w chwili wydania produktu konsumentowi. Z kolei jedyną powinnością po stronie konsumenta w przypadku postępowania sądowego, byłoby wykazanie faktu przekroczenia czternastodniowego terminu przez sprzedawcę, bez konieczności udowadniania, że produkt faktycznie miał wady fizyczne. Wspomniane domniemanie jest jednak ograniczone czasowo - dotyczy wady produktu stwierdzonej przed upły-

wem roku od wydania sprzedanego produktu.

Przy obliczaniu 14-dniowego terminu na ustosunkowanie się do żądania konsumenta określonego w reklamacji, należy pamiętać, że chodzi o dni kalendarzowe, nie o robocze. Inne postanowienia regulaminu czy umowy zostaną uznane za klauzule niedozwolone, jak to miało miejsce w przypadku poniższego postanowienia: Klauzula niedozwolona: „Re-

klamacje rozpatrywane są w ciągu 14 dni roboczych od daty wpłynięcia reklamacji. Większość towarów market sprowadza z zagranicy i w tych przypadkach czas rozpatrywania reklamacji może ulec wydłużeniu.” (Wpis numer 1890 w rejestrze klauzul niedozwolonych prowadzonym przez Prezesa UOKiK.)

Należy szczególnie podkreślić, że udzielenie odpowiedzi na reklamację zostanie uznane za dostarczone w dniu, w którym konsument będzie mógł zaznajomić się z treścią pisma. Istotna pod tym względem będzie więc nie data wysłania odpowiedzi, a data otrzymania jej przez adresata.

powiedzialność za skuteczne dostarczenie odpowiedzi konsumentowi leży po stronie przedsiębiorcy, niedopuszczalne są więc postanowienia umowne przerzucające ciężar odpowiedzialności na konsumenta: Klauzula niedozwolona: „Klient zobowiązuje się w terminie 14 dni odebrać decyzję dotyczącą ustosunkowania się sprzedawcy do żądania kupującego bez dodatkowego powiadomienia.” (Wpis numer 1890 w rejestrze klauzul niedozwolonych prowadzonym przez Prezesa UOKiK.)

Może wydawać się, że oczekiwanie przez przedsiębiorcę na informację od rzeczoznawcy czy producenta

ookaże się negatywna, przedsiębiorca będzie zabezpieczony w przypadku postępowania sądowego, wykazując, że towar nie zawiera wad. Sposobem zabezpieczenia się przedsiębiorcy przed uchybieniem terminowi udzielenia odpowiedzi na reklamację mogą być odpowiednie uzgodnienia z konsumentem. W trakcie składania reklamacji można wówczas ustalić dogodny sposób poinformowania o rozpatrzeniu reklamacji, np. SMS-em czy pocztą elektroniczną. Ustawa nie narzuca bowiem określonego sposobu poinformowania konsumenta o rozpatrzeniu reklamacji, jednak należy zaznaczyć, że niedopuszczalne jest zobowiązanie klienta do osobistego stawienia się w sklepie w celu odebrania odpowiedzi na reklamację.

Postanowienie narzucające klientowi sposób poinformowania o decyzji w sprawie reklamacji, np. w regulaminie, spełni przesłankę klauzuli niedozwolonej, gdyż nie zostało z konsumentem indywidualnie ustalone. Odpowiedź przedsiębiorcy na reklamację powinna jednoznacznie wskazywać, czy zgłoszone żądanie konsumenta zostało rozpatrzone pozytywnie, czy negatywnie, zatem czy reklamacja zostanie rozpatrzona, czy też odrzucona. Ponadto sama informacja, że reklamacja została rozpatrzona, nie będzie wystarczająca. Konieczne jest wskazanie sposobu rozpatrzenia reklamacji. Jak wskazywałem wcześniej, sprzedawca może bowiem odmówić np. naprawy rzeczy we wskazany przez reklamującego sposób, gdy będzie to generowało po stronie sprzedającego nadmierne koszty, podczas gdy istnieje inny, tańszy sposób naprawienia wady w produkcie. Wówczas przedsiębiorca powinien zamieścić w swojej odpowiedzi stosowne uzasadnienie. Dla skuteczności odpowiedzi na reklamację konieczne jest, by oświadczenie w niej zawarte było złożone osobiście przez przedsiębiorcę lub osobę przez niego upoważnioną. Konsument oczekuje bowiem w swojej sprawie stanowiska przedsiębiorcy, do którego reklamacja została adresowana. Dlatego nie zostanie uznane za odpowiedź na reklamację jedynie wysłanie do konsumenta informacji, że została ona przekazana rzeczoznawcy, ani też odesłanie negatywnej opinii rzeczoznawcy.

Marek Kurowski
Powiatowy Rzecznik
Konsumentów

Stąd sprzedawca, który zwleka z odpowiedzią i wysyła list w terminie 13 dni od momentu otrzymania reklamacji, ryzykuje, że przesyłka nie dojdzie do konsumenta na czas, co będzie można zinterpretować jako brak odpowiedzi na reklamację. Dlatego też, ze względu na uchybienie ustawowemu terminowi odpowiedzi, przedsiębiorca narazi się na konsekwencje, jakie ustawa przewiduje, jeśli chodzi o brak odpowiedzi na reklamację. Od-

towaru co do istnienia wady, przedłuży termin odpowiedzi na reklamację. Przepisy nie przewidują jednak żadnych wyjątków w tym zakresie. Jeżeli więc przedsiębiorca faktycznie będzie musiał oczekiwać na taką opinię, rozsądnym jego zachowaniem będzie pierwotne odrzucenie reklamacji. Nic nie stoi bowiem na przeszkodzie, by w razie uzyskania pozytywnej opinii rzeczoznawcy czy producenta, uznać wtórnie reklamację. Z kolei jeśli opi-





Fot. Archiwum Autora

Bogu na chwałę, ludziom na ratunek

W ub. roku minęło 60 lat od powstania Ochotniczej Straży Pożarnej we Wrzącej. Jej założyciele już nie żyją, ale zamierzchłe czasy, kiedy jednostka dopiero co się kształtowała, pamięta Roman Wilkos, obecny i wcześniejszy wieloletni jej prezes. Wstąpił do OSP sześć lat po jej powstaniu, czyli w 1964 roku. Noszenie munduru strażaka i pomoc ludziom były dla nastoletniego wówczas Romana ogromną dumą i spełnieniem dziecięcych marzeń.

- Kiedy została utworzona jednostka OSP we Wrzącej - zapytałem nestora strażaków?

- Ochotnicza Straż Pożarna w naszej miejscowości powstała w 1958 roku. Założyło ją dziewięciu mieszkańców wsi: Stanisław Wędzlewski, Antoni Jaworski, Henryk Żak, Wiktor Rytlewski, Leon Zagórski, Wacław Król, Mieczysław Nowak, Bolesław Chybowski i Edward Michalski. Pierwszym prezesem został Stanisław Wędzlewski. Ja jestem ze strażą związany od 1964 roku, kiedy zostałem strażakiem miałem trzynaście lat. Kiedyś już o tym czytelnikom „Powiatu” opowiadałem, więc tylko przypomnę, że swoją przygodę ze strażą zawdzięczałem sąsiadowi, który był też strażakiem, wielokrotnie zabierał mnie do wozu strażackiego i opowiadał o swojej pracy. W ten sposób zaszczerpił we mnie chęć bycia strażakiem - ochot-

nikiem. Zaimponowały mi wtedy piękne mundury strażaków z lampasami i ten sentyment do strażackiego munduru pozostał we mnie. Dzisiaj we Wrzącej w co drugim domu jest strażak ochotnik. W 1966 roku powołana została kobieca drużyna pożarnicza, która utworzyły m.in.: Helena Zinkowska, Bogumiła Tkaczyk, Krystyna Strząbała, Jadwiga Wiśniewska i Danuta Klugowska.

- Jakim sprzętem dysponowała OSP na początku swego istnienia?

- Ochotnicy w latach sześćdziesiątych ub. wieku mieli na swoim wyposażeniu kilka parczanych węży, motopompę PO-3, bosa-

ki, tłumice oraz gaśnice wodne. Koni do pożaru używał druh Bolesław Chybowski ze Słonowiczek. W latach późniejszych OSP wzbogaciła się o samochód pożarniczy „Star 25”, który dzielnie służył ochotnikom przez wiele lat. Dzisiaj wyposażenie naszej straży jest nowoczesne. Ochotnicy ramię w ramię z kolegami z Państwowej Straży Pożarnej niosą pomoc ludziom, nic się nie zmienia w tej kwestii od stuleci, zmienia się tylko sprzęt i wyszkolenie bojowe strażaków. Jesteśmy nadal tak samo potrzebni jak dawniej.

- Czy dzisiaj strażacy ochotnicy są tak samo cenieni jak kiedyś?

- Badania wykazują, że w Polsce strażacy cieszą się dużym zaufaniem społecznym i cechuje nas wysoka etyka zawodowa. Ludzie nas tak postrzegają, bo jesteśmy zwykle szybko na miejscu zdarzenia i skuteczni w akcji. Cechuje nas dobra organizacja pracy, duża sprawność, wysoka gotowość do niesienia pomocy i poświęcenie innym. Działamy „Bogu na chwałę, a ludziom na ratunek”. Jako ochotnicy zawsze pomagamy w potrzebie i robimy to bezinteresownie.

Zanotował:

Grzegorz Jopek, Wrząca



Fot. Archiwum Autora



XIV POWIATOWY TURNIEJ KÓŁ GOSPODYŃ WIEJSKICH

JEZIERZYCE, MARZEC 2019



ZESPÓŁ SZKÓŁ
OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH
I TECHNICZNYCH
W USTCE

KOPERNIK NA FALI



LICEUM OGÓLNOKSZTAŁCĄCE

**KLASA
MATEMATYCZNO-INFORMATYCZNA**
MATEMATYKA, FIZYKA/
GEOGRAFIA, INFORMATYKA

**KLASA
MEDIALNO-PRAWNA**
J. ANGIELSKI, J. POLSKI, HISTORIA

**KLASA
BIOLOGICZNO-CHEMICZNA**
J. ANGIELSKI, BIOLOGIA,
CHEMIA



**NOWY
ODDZIAŁ
MISTRZOSTWA
SPORTOWEGO**

PIŁKA NOŻNA
BIOLOGIA/GEOGRAFIA, J. ANGIELSKI

PIŁKA RĘCZNA/LEKKOATLETYKA
BIOLOGIA/GEOGRAFIA,
J. ANGIELSKI

**WSPÓŁPRACA
Z KLUBAMI
SPORTOWYMI**

**OPIEKA
FIZJOTERAPEUTÓW**

**PROFESJONALNI
TRENERZY**

**DOSTOSOWANE
POŁĄCZENIA
AUTOBUSOWE**

TECHNIKUM

TECHNIK MECHATRONIK
MATEMATYKA/INFORMATYKA

TECHNIK MECHANIK
MATEMATYKA/INFORMATYKA

TECHNIK HOTELARSTWA
GEOGRAFIA/
J. OBCY



**TECHNIK
ŻYWIENIA I USŁUG
GASTRONOMICZNYCH**
BIOLOGIA/J. OBCY

**TECHNIK URZĄDZEŃ I SYSTEMÓW
ENERGETYKI ODNAWIALNEJ**
MATEMATYKA/FIZYKA

TECHNIK INFORMATYK
MATEMATYKA/
INFORMATYKA

STYPENDIA

SZKOŁA BRANŻOWA

**MONTER MASZYN
I URZĄDZEŃ**

**MECHANIK POJAZDÓW
SAMOCHODOWYCH**

KUCHARZ

FRYZJER

**PRAKTYKI
W NAJLEPSZYCH
LOKALNYCH FIRMACH**

**ZAGRANICZNE STAŻE
I WYJAZDY ERASMUS**

**KURSY ŻEGLARSKI
I MOTOROWODNY**



 **zsoit ustka**


**ul. Bursztynowa 12
76-270 Ustka**